Cena 10 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III — Warszawa, 30 marca 1947 r. — Nr 13 (70)

Mieczysław Kurzyna

O POLSKĄ MŁODZIEŻ

Nie, nie chodzi w tym artykule o rozważania teoretyczne. Nie chodzi też o wzięcie udziału w dyskusji, jaka na temat młodzieży toczyła się nie dawno na łamach całej niemal prasy polskiej. Ambicje intelektualne realizować można i przy innej okazji. Sytuacja, w której znalazła się młodzież polska po wojnie, wymaga natychmiastowego działania ze strony całego społeczeństwa. Wymaga też przede wszystkim ogromnego wysiłku katolików, którzy w tej dziedzinie nie mniejsze mają niż inni zaniedbania.

Sprawa jest poważna. Nie tylko dla tego, że ze wszystkich niemal stron padają pod adresem młodzieży zarzuty i głosy krytyki. Że większość oskarżonych w toczących się procesach politycznych i ogromna część „aktywu" istniejącej jeszcze ciągle konspiracji to właśnie młodzież. I nawet nie dlatego, że obserwacja środowisk akademickich, szkolnych i zawodowych daje obraz zagubienia i marazmu najmłodszych, ich niedorozwoju umysłowego i moralnego. Dlatego przede wszystkim, iż społeczeństwo najczęściej nie wie, co w tej dziedzinie zrobić należy, nie chce i nie umie rozpocząć na tym terenie jakiejś jednolitej akcji, że wreszcie tym samym przekreśla wszystkie możliwości odbudowania skołatanego wojną Narodu. Narodu słynnego ze zmarnowania kilku z kolei pokoleń młodzieży niemal bez celu, a zawsze z jakimś sobiepańskim gestem, jakby zasoby ludzkie każdej generacji były niewyczerpane...

MŁODZIEŻ W SPOŁECZEŃSTWIE

Zasadniczym i nagminnie popełnianym błędem przy omawianiu zagadnień młodzieży jest nie dość jasne określenie, o jaką mianowicie warstwę społeczną chodzi. Stosowane przeważnie kryteria wieku nie wiele właściwie tłumaczą... Dwudziestoparoletni bowiem student musi być zaliczony do młodzieży, trudno natomiast wiązać z nią osiemnastoletniego żywiciela rodziny robotniczej, czy chłopskiej, który już od dwu lat rozpoczął samodzielne życie i na serio myśli o założeniu własnego domu.

Formalne stwierdzenie „dojrzałości" na zasadzie ukończenia takich czy innych studiów, też nie wiele wyjaśnia. Zawsze istnieje bowiem możność kontynuowania ich na wyższym poziomie, a i z innych względów tego rodzaju mechaniczne kryterium będzie niewystarczające.

W chwili obecnej rzecz jest tym więcej skomplikowana, że wojna zmusiła wiele jednostek do przedwczesnego wykonywania poważnych funkcji i nie wiadomo jak zakwalifikować dziewiętnastoletniego dowódcę partyzanckiej grupy, który decydował o życiu i śmierci podwładnych i przeciwników, a dziś studiuje na pierwszym roku jednej z wyższych uczelni.

Z tym wszystkim młodzież istnieje przecież realnie i naogół używając tego określenia, wiemy, o kogo chodzi. O ile jednak wystarcza to do obcowania indywidualnego, z punktu widzenia problematyki społecznej, rzecz wymaga ściślejszego sprecyzowania.

Według przyjętych naogół poglądów do danej grupy społecznej zalicza się jednostkę na zasadzie jej funkcji zawodowych. Zasadniczą funkcją młodzieży jest przygotowanie się do twórczego działania w społeczeństwie. Chwila rozpoczęcia tego działania bywa bliżej lub mniej ściśle określona, zawsze jednak pozostaje w przyszłości, w przeciwieństwie do funkcji zawodowych pozostałych części społeczeństwa, które aktualnie wykonują swą pracę. Ponieważ zaś granicę zakończenia okresu dzieciństwa wyznaczyć jest stosunkowo łatwo, jeśli nie teoretycznie, to praktycznie, problem sprowadza się do podkreślenia raz jeszcze przygotowania, jako zasadniczej cechy tej warstwy społecznej, którą nazywać będziemy młodzieżą.

W społeczeństwach rozwijających się normalnie owo przygotowanie związane jest z pewnym wiekiem, odmiennym w różnych środowiskach społecznych, ale zwykle dość ściśle ustalonym. Przy tym im społeczeństwo jest bardziej kulturalne, tym więcej wymaga od jednostki dojrzałej i tym samym okres przygotowawczy trwa dłużej. W państwach chylących się do upadku, rzecz dochodzi niekiedy do absurdu, naogół jednak każdy naród dba, (drogą stypendiów, bądź w inny sposób), by aktualna praca zawodowa, czy zarobkowa nie przeszkadzała w osiągnięciu poziomu, zapewniającego powodzenie jednostce rozpoczynającej walkę o byt. Należy więc przyjąć jako pewnik, że istnieć musi dość długi okres przygotowawczy przed rozpoczęciem samodzielnej pracy i dość szerokie powinny być granice wieku, w których zamyka się pojęcie młodzieży.

NARÓD BEZ MŁODZIEŻY

Jedną z zasadniczych tez propagandowych Polski przedwrześniowej była teoria o młodości społeczeństwa polskiego. Bajecznie kolorowe afisze, oparte na najnowszych zdobyczach statystyki, dawały wrażenie potęgi narodu prężnego, którego przyszłość organizować będą gromady młodych bohaterów, zdolnych do pracy i walki. Kryła się w tym wszystkim wspaniała, a jakże tragiczna myśl, że nie zabraknie nam ludzkiej monety, gdy przyjdzie płacić rachunki historii. Nie zabrakło też jej, gdy słabość narodu bolesny wystawiła bilans. Braknie jej natomiast dziś, brakowało jej zawsze, gdy naród po walce miał leczyć otrzymane rany.

Afisze propagandowe kłamią. Jeśli powiedziałem przed chwilą, że młodzież, to warstwa przygotowująca się dopiero do prac dla narodu, byliśmy i jesteśmy narodem bez młodzieży. Nie tylko dlatego, że ginęła ona na wszystkich polach świata.. To nieco inna sprawa i trzeba zająć się nią osobno. Jesteśmy od dwustu blisko lat narodem bez młodzieży, bo od tego mniej więcej czasu, nie było w Polsce warstwy społeczeństwa przygotowującej się do przyszłości. Oportunizm, wygodnictwo, czy wreszcie nieraz poprostu nieudolność starszego pokolenia kazała młodym i najmłodszym brać odpowiedzialność za losy narodu. Spisek podchorążych Nocy Listopadowej wywołała młodzież. Legiony Piłsudskiego z niej się składały. Młodzież, ci wszyscy, którzy mieli kiedyś dopiero w przyszłości decydować o losach społeczeństwa, wzmagała nastroje rewolucji w 1905 roku. W okresie okupacji niemieckiej zaostrzająca się coraz walka z Niemcami i coraz silniejszy terror, mniej były wynikiem świadomej akcji dowództwa AK, czy AL, ale przede wszystkim skutkiem działań chłopców z „Kamieni na Szaniec" i bohaterów „Rozwalonego domu".

Tak było i w czasach pokoju. Jeśli przypomnieć sobie polityczne ugrupowania przed rokiem 39, łatwo zauważyć, jaką rolę odgrywali w niej studenci, uczniowie, młodzi rzemieślnicy. I to wszędzie. Od środowisk sanacyjnych do komunistycznych i skrajnie nacjonalistycznych. Zasadniczy cel, przygotowanie do pracy twórczej, ginął. Rodziła się młodzież, która nie była już młodzieżą, bo wzięła na swe barki ciężar odpowiedzialności, który nosić powinni ich ojcowie. Było to o tyle „naturalne", o ile naturalny może być paradoks, że chyba nigdzie nie znajdzie się tylu, co w Polsce, ludzi dojrzałych z mentalnością piętnastolatków.

Dlaczego tak się dzieje? Gdzie tkwi przyczyna tego patologicznego stanu, w którym marnują się najtęższe jednostki z młodych, a cały naród ponosić musi skutki ich nierozważnych decyzji?

Wydaje się, że powody są dwa. Po pierwsze młodzież polska wskutek nienormalnych warunków, wytworzonych przez długotrwałe zabory, nie umie znaleźć zadowolenia w codziennej pracy dla przyszłości. Trudno jest uczyć się i zdobywać doświadczenie życiowe, gdy naturalna przekora tego wieku jest podsycana codziennym poczuciem krzywdy. Refleksja i rozwaga nie są właściwościami młodego pokolenia. Stąd u narodu z „nadmiarem historii musi dojść do nieobliczalnych wybuchów.

Po drugie, winne jest społeczeństwo dojrzałe. Jeśli mówić o jego części, tworzonej przez ludzi rozumujących w granicach nakazów racji stanu, są oni przeważnie dokładnie od wpływu na młodzież odizolowani. Naturalna niechęć między rozwagą a uniesieniami młodości, między społeczeństwem „dorosłych", a wchodzącymi dopiero w życie, potęgowana niechęcią całego społeczeństwa do powolnego działania i balastem poezji oraz wizją konspiracyjnych tradycji, na których wychowuje się młodzież, musi doprowadzać do mijania się rąk wyciąganych do siebie. Tym więcej, że pozostała część narodu, z nastrojów młodzieży się cieszy. Gorzej, wyciąga z nich korzyści, wyręczając się niedorostkami wszędzie tam, gdzie zagraża niebezpieczeństwo. Proszę przypomnieć sobie na ilu odcinkach w 39 roku walczyły formacje, w których najstarszym oficerem był kapitan. Ile jednostek wojskowych ostało się jedynie dzięki ofiarności absolwentów podchorążówek. W ilu punktach Warszawy, w czasie po-

Wytyczne

OPINIA PUBLICZNA

POWSZECHNE zdanie społeczeństwa o danych sprawach, czy ludziach nazywamy opinią publiczną.

W narodach i państwach dojrzałych opinia publiczna jest kontrolerem i ostatecznym sędzią rządzących. Od wieków wszelkie rządy — nawet rządy totalne — starały sobie pozyskać opinię publiczną. Teoretycznie biorąc, czym szerszą się staje baza społeczna rządzących i czym głębszą demokratyzacja życia, tym poważniejszą rolę powinna opinia publiczna odgrywać. Doceniając ten fakt, współczesne państwa coraz większy procent budżetu przeznaczają na propagandę wszelkiego rodzaju. Okazuje się jednak, że propaganda nie jest w stanie formować i panować nad opinią publiczną, w takim stopniu, jak tego można było oczekiwać. Służąc celom koniunkturalnym, propaganda musi do zagadnień podchodzić jednostronnie, niejednokrotnie rozmijać się z prawdą, drażnić i nudzić. W rezultacie opinia formuje się poza, czy nawet wbrew, propagandzie.

Specjalizujący się w statystykach Amerykanie twierdzą, że opinię publiczną kształtuje zdanie szanowanych powszechnie obywateli. Według tego poglądu opinia publiczna krajów Europy zależna jest od kilku tysięcy ludzi.

Opinia jest nie tylko sędzią rządzących — jej zdanie normuje moralność publiczną i prywatną społeczeństwa. Odgrywa ogromną rolę obyczajową.

Interesująca nas szczególnie opinia publiczna polska, budzi poważne niepokoje. Trudno ją nazwać stałą, trudno ją nazwać zdrową. Smutną tę sprawę trzeba ocenić spokojnie. Na stan obecny złożyło się wiele przyczyn, które musiały przynieść opłakane rezultaty. Tragiczne losy narodu, tragiczne losy własne, wykolejały Polaków. Mimo, że nieodpowiedzialność opinii publicznej polskiej łatwo można wytłumaczyć i zrozumieć, nie sposób jej stan dzisiejszy przyjąć jako konieczny i nie walczyć o jego zmianę.

W życiu publicznym panuje oszczerstwo i plotka. Najpoważniejsi, najuczciwsi ludzie potrafią rozszerzać kłamstwa, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, jak straszną wyrządzają krzywdę nie tylko tym, których bezpodstawnie oczerniają, ale przede wszystkim własnemu społeczeństwu, uniemożliwiając uzdrowienie i przywrócenie odpowiedzialności opinii publicznej. Jest to nagminne szkodnictwo społeczne, które niestety jest coraz bardziej powszechne.

Piszemy o tym, ponieważ uważamy uzdrowienie opinii publicznej w Polsce za jedno z naczelnych zadań, stojących przed naszym pokoleniem.

W kraju...

SPRAWY SMUTNE

DOJRZAŁA do ostatecznego załatwienia sprawa powrotu Polaków z Zachodu Europy wchodzi w stadium realizacji. W tych dniach przebywał w Warszawie szef wydz. repatriacji Misji UNRRA, p. Roland Berger, który po rozmowach z min. Rusinkiem ustalił, że premier Cyrankiewicz wygłosi radiowe przemówienie do Polaków, które nagrane na płyty, przesłane zostanie do wszystkich stref okupacyjnych. Jednocześnie w poszczególnych okupacjach przemawiać mają generałowie i dowódcy stref, wzywając do powrotu.

Ta słuszna akcja propagandowa musi jednak znaleźć uzupełnienie w konkretnych posunięciach administracji poszczególnych stref, ułatwiających repatriantom podróż i warunki poruszania się po Niemczech. Tymczasem na tym odcinku źle się dzieje. Pociąg przedwojennych emigrantów polskich z Francji zatrzymany został na granicy strefy amerykańskiej nad Renem i około 1000 Polaków, którzy już zlikwidowali swoje dotychczasowe warsztaty pracy, musiało zawrócić z powrotem. Amerykanie zarządali opłaty za przewóz, przeliczając 3 marki za dolara. Dało to fantastyczną sumę, której repatrianci, rzecz prosta, nie byli w stanie pokryć. Jest to posunięcie conajmniej dziwne. Polacy wracający do ojczyzny mają prawo do BEZPŁATNEGO przejazdu. Nie pomogą hasła i przemówienia, jeśli tego rodzaju posunięcia będą jeszcze nadal miały miejsce.

OKRĘG LUBELSKI UJAWNIA SIĘ

W RAMACH akcji ujawniania się podziemia rozpoczął legalne życie cały lubelski okręg WIN. Należy podkreślić z uznaniem, że w motywach postępowania tych ludzi należy raczej dopatrywać się zrozumienia problemów racji staanu, niż załamania psychicznego. Wskazywała na to postawa ujawniających się. Ten rodzaj decyzji jest rzecz jasna najcenniejszy i tego rodzaju reakcje najbardziej podkreślają ogromne znaczenie amnestii.

RZECZ O ROLNICTWIE

TWARDE nakazy odbudowy, z jakimi zetknęło się polskie życie powojenne, a także dążenie do przemian w gospodarce narodowej, które w nowych warunkach są konieczne, zepchnęły w świadomości wielu mieszkańców miast zagadnienie rolnictwa i produkcji rolnej na dalszy plan. Dobrze więc się stało, że z tegorocznego planu inwestycyjnego przeznaczono na rolnictwo sumę dwu i pół miliarda złotych, przyznając tym samym temu podstawowemu sektorowi życia gospodarczego kraju należne mu miejsce. Zasadniczym dysponentem kredytu jest Państwowa Akcja Likwidacji Odłogów, która z ogólnej sumy rozporządza przeszło dwoma miliardami. Ten podział należy uznać za właściwy. Wszystkie inne zabiegi mogą poczekać — ziemia musi być we właściwym czasie obsadzona i obsiana.

POLSKO-SZWEDZKA UMOWA HANDLOWA

PODPISANA została polsko-szwedzka umowa handlowa, przewidująca obroty towarowe na sumę 302 mil. koron. Poza tym Szwedzi mają wziąć udział w odbudowie polskiego gospodarstwa wzamian za dostawy węglowe. Pogłębiający się kontakt z naszym najbliższym zamorskim sąsiedem uznać należy za fakt nadzwyczaj pozytywny. Nie tylko bowiem stosunki gospodarcze, ale idące za tym zbliżenie kulturalne dać może obu stronom wyraźne korzyści i pogłębić przyjaźń między narodami, której Szwedzi tak wiele dali w najtrudniejszym dla nas okresie dowodów

wstania, decyzja leżała faktycznie w rękach smarkatych podporuczników z wojennych kursów. A w czasach pokoju starsi panowie, nie dając młodzieży nic poza brzękiem wytartych frazesów, z radością patrzyli na „garnących się do polityki" niedolatków, bo oni sami zajęci już byli ciągnięciem zysków ze zdobytych poprzednio pozycji. Młodzieży nie umieli wskazać żadnego celu, bo nie mieli go sami. Chętnie natomiast przyjmowali na codzień hasła najmłodszych i udawali, że w nie wierzą, nie patrząc dokąd na tej drodze zajść można.

I oto stało się. Najlepsi młodego pokolenia zginęli, tak jak ginęli ich rówieśnicy z pokoleń poprzednich, zaściełając drogi od Monte Cassino do Warszawy, od Afryki do Moskwy, Poznania i Berlina. Nieporównanie większe straty młodzieży w kraju zbyt tragicznie jeszcze tkwią w naszej pamięci, by trzeba je było osobno przypominać. Pozostali przestali być młodzieżą, bo nauczono ich, że oni właśnie muszą wyręczać właściwych kierowników narodu, którzy zawiedli. Że praca społeczna tylko na nich czeka. Tak jak od dwustu lat, pozostał osłabiony przedwczesnymi stratami naród bez młodzieży. Naród starców, kobiet i dzieci.

POKOLENIE TRAGICZNE

Aby zrozumieć, czym jest młodzież polska po odzyskaniu niepodległości, skoro przestała być młodzieżą w ścisłym tego słowa znaczeniu, trzeba zdać sobie sprawę z procesów, jakim ulegała od czasu wyjścia z okresu dzieciństwa. Zanim jednak można będzie przystąpić do tej analizy, przypomnieć należy jeszcze jedną konsekwencję przyjętej na początku definicji. Jeśli młodzież uważamy za warstwę, której praca twórcza rzutowana jest w przyszłość, musi ona w tę przyszłość wierzyć. Znaczy to mniej więcej tyle, że powinna posiadać przekonanie, iż praca jednostki i szeregu jednostek zdolna jest zmienić zastaną rzeczywistość i ukształtować ją na miarę własnej wizji. To przekonanie właściwe całemu kręgowi cywilizacji zachodnio - europejskiej tworzy ową pogodę i radość, które tak chętnie przypisują młodzieży ludzie, mający z nią mało do czynienia.

Otóż tej wiary młodzież polska nie ma. Wystarczy porozmawiać z grupą studentów, czy gromadką uczniów, by nie powstały tu żadne wątpliwości. W najlepszym razie znajdziemy przekonanie o przyszłej wojnie i zupełnie nieokreślone zdania o tym, co będzie po tem. W większości jednak wypadków mieli do czynienia z ucieczką od problemu bądź w kierunku życiowego oportunizmu, bądź bierne poddanie się losowi, który przyjdzie.

I nie ma co dziwić się, że tak właśnie jest. Pokoleniu dzisiejszej młodzieży, czy raczej tym, którzy młodzieżą być powinni, odebrano wiarę gruntownie i bardzo skutecznie. Kazano wierzyć w zwycięstwo Polski w 39 roku, a później tę wiarę wyśmiano. Tłumaczono przez całą wojnę cel konspiracji zbrojnej i tworzono mit potęgi mocarstw anglosaskich, a później zakończono sprawę powstaniem z jednej strony, a z drugiej „zaplutym karłem reakcji". Dano wreszcie do ręki pistolet i tłumaczono, że to zmieni sytuację polityczną na kontynencie europejskim. Za ten stan rzeczy odpowiedzialne są najprzeróżniejsze środowiska społeczne i polityczne, ale wszystkie one grzeszyły błędem niezrozumienia nastrojów, dążeń i zadań młodzieży. Ludzie, których wysuwano, jako zbawcze postacie, obojętne — kraju, partii, czy stronnictwa, okazywali się śmiesznie mali wobec biegu historii. Pozostawał jedynie patos nic nie znaczących słów, zanim przebrzmiałych haseł nie zmieniono na nowe, równie podniosłe i równie puste.

Zawody i nieufności zrodziły wśród młodzieży swoisty cynizm. Powstał specjalny typ realisty, realisty pieniądza i uchwytnej materii. Niech nikt się nie łudzi, że np. gromadny pęd na wyższe uczelnie, jest dowodem zamiłowania do nauki. Poza nielicznymi wyjątkami, większość osiągnąć pragnie przede wszystkim stopień, tytuł czy pozycję społeczną i to jak najmniejszym kosztem. A przecież ta dziedzina przedstawia się lepiej od innych. Stosunek do pracy w organizacjach politycznych jest dużo smutniejszy, nie mówiąc już o podejściu do posady w instytucji państwowej. Jeśli zaś znajdą się jednostki, którym okoliczności, czy siła moralna pozwoliły zachować coś z dawnego idealizmu, to ich pracy stają na przeszkodzie bądź atawizmy politycznych przekonań, bądź różnice światopoglądowe wobec istniejących platform realizacji instynktów społecznych. Skazani zostają na smutną drogę wyzbycia się przekonań, skąd już jeden krok do całkowitej bezideowości, albo na koszmarne ścieżki konspiracji, z których jest jedno praktyczne wyjście — w mury więzienia. Dla tej młodzieży, w większości katolickiej, apelujemy twardo o organizację ideowo - wychowawczą.

Z tym wszystkim młodzież nie jest jeszcze pozycją straconą. Ci, którym pogląd na świat umożliwił pracę w istniejących ramach organizacji i instytucji, zaczynają stawać się elementem wartościowym, choć obcym nam ideowo. Wyścigi pracy ZWM, to nie zawsze jedynie triki propagandowe. — Gorzej jest z tymi, których od tego typu pracy dzieli mocno zarysowany odmienny pogląd na świat. Ich pozycja jest nieporównanie trudniejsza.

Jest w młodzieży gorące pragnienie wiary, imponderabiliów w świecie ducha, na których można by się oprzeć, choć nie ma wiary samej. Ta jednak dyspozycja może chronić od pesymizmu, byle tylko nie została raz jeszcze zmarnowana. Młodzież ma w sobie zawsze siłę biologiczną, która pozwala jej odrodzić się w najgorszych okolicznościach. Musi istnieć jednak świadomy wysiłek całego społeczeństwa dla jej wydobycia, bo za czas jakiś może być zbyt późno.

Jest wreszcie w tym tragicznym pokoleniu zdrowa, choć wypaczona przerastającymi jej możliwości zadaniami, chęć służby narodowi, która właściwie skierowana może stać się punktem wyjścia z istniejącego impasu. Byle tylko jej aktualizacje nie przesłoniły zadań młodzieży, wynikających z samej definicji tej warstwy społecznej. Instynkt natychmiastowego działania, sprawdzenia własnej postawy w pracy twórczej, jest w swym rdzeniu zdrowy. To wina całego społeczeństwa, że od lat skierowało go na najfałszywsze drogi.

SPOŁECZEŃSTWO WOBEC MŁODZIEŻY

W umyśle przeciętnego obywatela problem młodzieży zamyka się do spraw szkoły. Wśród bardziej uświadomionych łączy się z zagadnieniem kazań, autorytetów i jakichś organizacji młodzieżowych. W sumie jednak wzajemny stosunek całości i części nie jest dokładnie rozumiany i to może jest powodem tak wielu w tej dziedzinie nieporozumień.

Aby rzecz tę wyjaśnić, uprzytomnić sobie należy przede wszystkim, że czynnikiem kształtującym młode pokolenia, czynnikiem wychowawczym, są wszystkie przejawy życia narodowego. Kształtuje bowiem trwale nie lekcja czy kazanie, ale suma przeżyć. Stąd o „morale" młodzieży decyduje nastrój, poziom i kierunek myśli całego społeczeństwa i genezę pracy nad młodzieżą od tej należy rozpocząć dziedziny. Jest to niewątpliwie trudniejsze niż zorganizowanie harcerskiego obozu, czy wykształcenie pewnej liczby nauczycieli. Stanowi jednak postulat niezbędny i zaniedbanie go obraca w niwecz najlepiej pomyślaną akcję wychowawczą.

Po drugie społeczeństwo w części dojrzałej musi dokładnie wiedzieć, czego od młodzieży oczekuje. Jeśli bowiem pozwalamy pewnej grupie ludzi rozpoczynać pracę twórczą z opóźnieniem, musi istnieć cel, który tę stratę może uzasadnić. Niestety w ogromnej części społeczeństwa świadomość tego celu nie istnieje.

Rozpatrując zagadnienie teoretycznie cel ogółu zabiegów wychowawczych w stosunku do młodzieży zamyka się w problemie uzyskania jak największej ilości pożytecznych obywateli. Stąd jako postulat naczelny występuje t. zw. wychowanie obywatelskie. Zamyka ono cechy jednostki w zbiorowości na gruncie danych stosunków społecznych, w określonym momencie historycznym, a nawet sytuacji geopolitycznej.

Z punktu widzenia naszego poglądu na świat dochodzi jeszcze, jako niezbędna podstawa, wychowanie religijne. Rozumujemy bowiem, że bez określenia stosunku do Boga i przyjęcia pewnych zasad moralności w znaczeniu pozadoczesnym, nie wychowa się jednostki pełnowartościowej.

W sumie wychowanie religijne i obywatelskie stanowią zabiegi, które powinny zapewnić społeczeństwu dopływ świeżego, wartościowego elementu. Osiągnięcie postulowanych w obu dziedzinach wartości umysłu i charakteru jest społecznym zadaniem młodzieży, jej świadczeniem na rzecz narodu. Podjęcie właściwych prac społecznych poza własnym terenem jest jedynie czymś wtórnym.

Zapewnienie natomiast młodzieży minimum warunków egzystencji (przypominamy o sprawie kartek!) wpajanie jej pewnej sumy rysów obyczajowych, pojęć kulturalnych i dorobku naukowego, oraz tradycji myśli politycznej, jest wkładem narodu w młodzież, dla przedłużenia swego bytu.

Powstaje więc proces dawania i brania. Jeśli obie strony w pełni zrozumieją swoje w tej dziedzinie obowiązki, problem młodzieży zostanie rozwiązany. Z jednej bowiem strony młodzież uzyska poczucie doniosłości swej społecznej funkcji i zahamuje dążenia do zbyt wczesnej aktualizacji swych możliwości twórczych w czynie. Praca organizacji młodzieżowych przestanie odrywać niedolatków od ich najnaturalniejszych obowiązków. Stanie się pomocą, a nie przeszkodą w wykonywaniu obowiązków stanu. Młodzież pragnie współtworzyć, dawać, a nie tylko brać i musi znaleźć dla tego dążenia pole realizacji bez względu na wyznawany pogląd na świat. Ale są dla społeczeństwa korzyści wtórne i nie wolno przedkładać ich nad sprawy najbardziej zasadnicze.

Z drugiej strony społeczeństwo dojrzałe nie będzie spychać na barki najmłodszych swych własnych zadań i swej własnej problematyki, która przez tyle lat przechodziła do rąk najmłodszych. Obie jednak sprawy możliwe będą tylko wówczas, gdy życie społeczeństwa dojrzałego nabrzmiewać zacznie istotną treścią, gdy postulowane wobec młodzieży zasady ideału obywatela staną się codzienną praktyką pozostałej części społeczeństwa, gdy wreszcie ono samo, znać będzie drogę polityczną, po której ma dążyć i cel, który zamierza osiągnąć. Trudno bowiem odbudowywać tak niezbędną dla młodzieży wiarę, gdy większość społeczeństwa ją straciła. Trudno mówić o imponderabiliach, jeśli są one dla społeczeństwa w praktyce codziennej fikcją. O tyle też problem młodzieży musi rozpocząć społeczeństwo starsze.

ZAKOŃCZENIE

Przytoczone tu uwagi nie rozwiązują, rzecz prosta, zagadnienia młodzieży. Dla kompletnego jego wyczerpania potrzeba wielu jeszcze gruntownych i fachowych prac, w szczególności katolickiej części społeczeństwa. Treść ideału wychowawczego zarówno w jego aspekcie społecznym i narodowym, jak religijnym i moralnym muszą być dokładnie sformułowane. Muszą też powstać ramy, w których instynkty społeczne młodzieży katolickiej będą mogły znaleźć swoją aktualizację, a poglądy związane z przyszłością narodu i państwa drogę do „tragicznego pokolenia". Istnieje wreszcie cała dziedzina szczegółowych analiz istniejącego stanu rzeczy i praktyki dydaktyczno-wychowawczej, bez których nie można marzyć o naprawie dziejącego się zła. Wrócimy do tych zagadnień niejednokrotnie. W tym miejscu podkreślić należy tylko raz jeszcze — nakazem narodowego bytu jest rozwiązanie tragicznego problemu narodu bez młodzieży i stworzenie takich warunków, by wśród zmarnowanych pokoleń, to było pokoleniem ostatnim...

Mieczysław Kurzyna

W świecie...

MOWA TRUMANA

PREZYDENT USA zwrócił się do Kongresu z orędziem, żądającym przyznania 400 milionów dolarów na cel przyjścia z pomocą Grecji i Turcji, przyczym Truman domaga się, by specjaliści amerykańscy posiadali prawo i możność kontroli nad sposobem zużytkowania przez Grecję i Turcję przyznanej im pomocy. Orędzie to zostało przyjęte w świecie, tak anglosaskim, jak i pozaanglosaskim, jako próba sił imperializmu amerykańskiego, który — prócz zarezerwowanych dla siebie wpływów w Chinach i Japonii — chce jeszcze posiadać swoje bazy na Morzu Śródziemnym i w Dardanelach. Z pomocą Turcji i Grecji—USA chce wykonywać kontrolę obszarów Środkowego Wschodu. Jest to niewątpliwie posunięcie bardzo śmiałe. To też reakcja opinii światowej jest dosyć charakterystyczna i ona to właśnie może nawet lepiej, niż sam projekt Trumana — ujawnia kulisy sprawy. Prasa amerykańska — prócz sprzeciwu b. min. Wallaca — mowę przyjęła nad wyraz przychylnie, choć wielu Amerykan uważa, iż mowa prezydenta nie przyczyni się do ułatwienia rozmów na konferencji moskiewskiej. W Anglii — opinia podzieliła się na dwie grupy. Jedna — reprezentująca ugrupowania konserwatywne i te z lewicowych, które opowiadają się za polityką Bevina —przyjęła projekt entuzjastycznie. A nawet labourzystowski „People" uznał, iż mowa ta może zmniejszyć napięcie międzynarodowe. Inne pismo stwierdziło, że wobec wycofania się W. Brytanii z Środkowego Wschodu powstaje tam próżnia i dobrze się stało, iż próżnię tę zapełniają właśnie Amerykanie. Pisma skrajnie lewicowe natomiast zaatakowały projekt, określając go jako burzący pokój. Czy rzeczywiście projekt Trumana przyczyni się do wyjaśnienia sytuacji międzynarodowej?

WOJNA W CHINACH

JEDNYM z tych — na szczęście nie tak wielu—krajów, w których wojna z okupantem, zakończona zwycięsko, przeszła natychmiast w wojnę domową— są Chiny. Przed paru miesiącami zdawało się, że już doszło do ostatecznego porozumienia między rządem chińskim Czang-Kai-Szeka a komunistami. Porozumienie to okazało się bardzo krótkotrwałe. Wojna domowa wybuchła na nowo i ze zdwojoną siłą, gdyż w grę wchodzą nie tylko interesy wewnętrzno-chińskie. W dobie współczesnej nie ma już takich wojen domowych, które by nie były wykorzystywane przez czynniki zagraniczne. Ostatnio Czang-Kai-Szek zapowiedział rozwiązanie problemu komunizmu w Chinach na drodze militarnej. Bombowce zbombardowały równocześnie siedzibę władz komunistycznych Yenan. A w Moskwie propozycja Mołotowa — przedyskutowania problemu Chin spotkała się z twardym sprzeciwem Marshalla.

RZĄD CZWARTEJ RZESZY?

PARTIE niemieckie wszystkich stref okupacyjnych wysunęły projekt utworzenia wspólnego komitetu porozumiewawczego, który by reprezentował opinię całych Niemiec i w tym charakterze mógł przełożyć dezyderaty tego narodu Wielkiej Czwórce. Jeśli komitet taki powstanie — będzie to zalążek rządu czwartej Rzeszy!

Kazimierz Koźniewski

VOX POPULI

(Artykułu p. t. „Jeden świat" część trzecia)

Gdy w czasach dawniejszych świadomość, że tylko zjednoczenie polityczne świata zapewni mu pokój i prawdziwą możność pełnego rozwoju, właściwa była tylko jednostkom przez naturę obdarzonym umysłami nader bystrymi — to obecnie przeświadczenie o konieczności zunifikowania świata, czy conajmniej poszczególnych kontynentów, jest coraz powszechniejsza. Jeżeli świadomość ta nie przeniknęła może wszędzie do najszerszych mas, to w każdym razie warstwy kierownicze narodów doskonale zdają sobie z niej sprawę, choć niestety różni mężowie stanu dla rozlicznych względów politycznych i taktycznych nie chcą jeszcze występować zbyt ostro z podobnie radykalnymi postulatami.

Bardzo pouczającym — pod tym względem — jest dokonanie krótkiego przeglądu celów wojennych, jakie przeświecały w czasie Drugiej Wojny Światowej poszczególnym stronom walczącym. Konkluzja ta jest może bardzo szokująca, ale nie mniej należy z całą stanowczością stwierdzić, iż wszystkie strony walczące — walczyły prawie o to samo. Ich cele ostateczne — były prawie identyczne. Słówko „prawie" w tym sformułowaniu zamyka oczywiście treść bardzo szeroką, wariant nader rozmaity, ale nie zmieniający jednak celu. Ponadto — i tu właściwie jest rzeczy sedno — strony walczące różniły się od siebie w sposób niekiedy zasadniczy i diametralny w metodach osiągnięcia tego celu i w regulaminach jego późniejszej, praktycznej organizacji. Oczywiście te właśnie różnice były w praktyce zarówno dla wielkich, jak i małych partnerów wojny sprawą zasadniczą; wcale nie uboczną. Właśnie owe różnice zadecydowały o zwycięstwie jednej strony, a klęsce drugiej. One zadecydowały o takim, a nie innym stosunku poszczególnych narodów do celów wojennych leaderów. One nakoniec i dziś jeszcze decydują o pomyślnym zrealizowaniu tych planów, lub też o odwleczeniu realizacji na długi, bardzo długi, bliżej nieokreślony nawet, przeciąg czasu.

Walczący więc różnili się zasadniczo i krańcowo w metodach — będąc zgodnymi co do celu. A celem tym było — zorganizowanie danej części świata w jedną gospodarczą i polityczną całość. Cel — minimalny. Maksymalnym — i jedynie słusznym, było zorganizowanie w ten sposób całego świata. Cel ten powstał właśnie z dokładnego uświadamiania sobie nieuniknionej konieczności dostosowania organizacji politycznej do już istniejących organizacji technicznych i gospodarczych, które we właściwym sobie zakresie, już są zdolne dokonać rzeczywistego scalkowania kontynentu. Niestety glob i każda jego część, może być tylko równocześnie unifikowana we wszystkich aspektach. Nie można dokonać unifikacji politycznej bez gospodarczej, czy vice versa. Jedynie aspekt kulturowy posiada tu pewna — choć też ograniczoną — autonomię. Zdawano sobie doskonale sprawę z tego, iż znakomita większość zagadnień, stawianych dziś przez życie socjalne, gospodarcze, techniczne, a nawet polityczne — korzystnie może zostać rozwiązaną tylko w ramach conajmniej kontynentalnych. Byłoby uproszczeniem — uproszczeniem słusznej sprawy — pod postulatami unifikacji dopatrywać się tylko imperializmu. Imperializm występuje w tym procesie również, ale raczej jako potężne narzędzie, szczęśliwy dla danego narodu zbieg okoliczności, w każdym razie jako koncepcyjny współmotor.

Przypatrzmyż się więc — a będzie to ciekawe — pokrótce celom stron do niedawna walczących.

Niemcy wywołując wojnę postulowały swój „Neue Ordnung" europejski. Nie taili, iż miała to być Europa zorganizowana w jedną całość, gdzie elementem kierowniczym byliby Niemcy. Była to koncepcja w swym duchu nawskroś imperialistyczna. Miało to być coś w rodzaju „pax germanica". Zaaplikowana przez nich metoda unifikacji kontynentu przeczyła prawom naturalnego rozwoju. Oparta była ona bowiem nie na uznaniu równości narodów — lecz przeciwnie — na ich wartościowaniu, nader starannym. W praktyce zdołali oni skonstruować na lat pięć piramidę, której szeroką podstawę — na szczęście jeszcze tylko teoretycznie — tworzyli Słowianie, jako „Knechtenvolk", a wierzchołkiem był „Herrenvolk" niemiecki. Żydzi zostali w znacznej większości, a mieli zostać całkowicie, wymordowani. Systemu tego Niemcy trzymali się do ostatniej chwili konsekwentnie, co wprawdzie może chlubne świadectwo wystawia uporowi, ale też demaskuje ich całkowitą ignorancję psychiki innych narodów i praw rządzących życiem międzynarodowym, bez znajomości czego rządzić innym nie podobna. Wyrazie, nieprawdopodobnego zresztą, zwycięstwa Niemiec — powstałby tylko „Neu Ordnung" europejski, oparty na zasadzie niewolnictwa. System taki nie sprostał by próbie życia. Rezultatem jego, w razie dłuższego okresu trwania takiej rzeczywistości, byłby wzrost nacjonalizmów w postaci najbardziej skrajnej. A co za tym idzie dzieło zjednoczenia odwlokło by się na okres bardzo długi. — Nie mniej należy z całym objektywizmem stwierdzić, że — obojętne z jakich powodów — niemieccy przywódcy posiadali już tę świadomość, że kontynent europejski musi tworzyć jedność. Świadomość ta przychodziła im tym łatwiej, iż w sposób trafny przewidywali, iż w zunifikowanej Europie — i tylko Europie — rola Niemiec, obojętne jakich, byłaby ważka, lub wręcz najważniejsza. Ale do tego wrócimy jeszcze przy innej okazji.

Identyczną koncepcję, realizowaną podobnymi metodami i mającą wobec tego podobne perspektywy fiasca — wysuwała Japonia wobec Azji, właszcza — początkowo, z powodu wielkości geograficznej tego kontynentu — Azji wschodniej. Japonia poniosła klęskę. Lecz sama koncepcja, która do niego łączy się z buntem przeciwko władztwu i hegemonii człowieka białego, zatacza kręgi szerokie. Nie trzeba zapominać, iż nie wszędzie Japończycy witani byli tylko jako wrogowie. Były kraje azjatyckie, gdzie pojawiali się jako wyzwoliciele z jarzma białego człowieka. To, że żółci wyswobodziciele okazali się częstokroć gorszymi tyranami od białych — nie zmienia istoty rzeczy. Tym bardziej, iż zdobycie Singapuru oraz inne klęski armii angielskich i amerykańskich, podważyły autorytet białych w sposób zasadniczy. Wyzwolone zostały siły narodowe, które dziś stanęły w szranki walki o swoje prawa. Ponieważ jednak epoka współczesna nie tyle sprzyja powstawaniu nowych samodzielnych narodów, co raczej łączeniu się istniejących w wielkie całości — już słyszymy, jak obok haseł wyzwolenia narodowego, wyzwolenie spod panowania białych, zaczynają odzywać się na kontynencie azjatyckim hasła postulujące jakąś Pan-Azję ludów wolnych. I nie kto inny, jeno właśnie sam generalissimus Chin Czang kaiszek w swej mowie z września roku ubiegłego, mowie, w której wzywał do łagodnego traktowania Japończyków (nie Japonii) próbował postulować jedność Azji wschodniej, w jego wydaniu oczywiście pod przywództwem Chin. Sprawa Azji jest bardzo skomplikowana, może nawet bardziej skomplikowana dziś niż sprawa Europy. Odrębną częścią świata jest właściwie Azja Radziecka od Wschodniej przedzielona pustyniami i odmienną już istniejącą organizacją polityczną. Jeszcze inaczej przełamują się sprawy Azji Zachodniej, bardziej łączonej z Afryką i Europą niż z Azją właściwą. A w środku mamy do czynienia z problemem Indii... Nie mniej kamień raz ruszony może wywołać lawinę zdolną zasypać przepaść. A mam wrażenie — wrażenie potwierdzane wiadomościami codzień nadchodzącymi z tamtej części globu — że kamień ten się już toczy. Musimy się liczyć z tym, iż niedługo kontynent azjatycki stanie się areną wydarzeń ciekawych, ważkich i być może w skutki dla całego świata brzemiennych.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej pod kierunkiem Roosevelta świadomie doprowadziły do praktycznego zrealizowania idei pan-amerykańskiej, która przybrawszy konkretne kształty na konferencji panamerykańskiej, odbytej w Buenos-Aires w roku 1936, zdała właściwie egzamin wojenny i działa coraz sprawniej. Oczywiście ściśle mówiąc mamy to do zawdzięczenia tylko ogromnej przewadze gospodarczej i militarnej Stanów Zjednoczonych, tak, że występuje tutaj zjawisko „pax of United States", z niewątpliwym udziałem czynnika północno-amerykańskiego imperializmu, ale ponieważ forma egzekwowania tego imperializmu w stosunku do republik południowo- i środkowo - amerykańskich jest dosyć łagodna i nader przemyślna, więc też mówić możemy tutaj o pewnym idealnym stanie rzeczy, godnym naśladowania, choć do naśladowania w innych warunkach historycznych — nielatwym. Dlatego też żądania niektórych publicystów amerykańskich, by Europa szła pod tym względem w ślady swej młodszej siostrzycy — są wprawdzie bardzo szlachetne, ale równocześnie prostacko upraszczają skomplikowaną sytuację naszego kontynentu, znacznie bardziej zróżnicowanego, niż to kiedykolwiek miało miejsce na tamtej półkuli. Zawarte w początkach wojny układy między USA a Kanadą, oraz sfinalizowana już w roku 1947 umowa, przewidująca unifikację broni w obu armiach, włączyły praktycznie Kanadę w system pan-amerykański, mimo, iż równocześnie nie opuszcza ona brytyjskiej wspólnoty; stwarza to zresztą dla niej szczególnie wdzięczną rolę do odegrania. Jak widać, zachodnia hemisfera została już właściwie doprowadzona do jedności. Hasło takiejż jedności dla świata było właśnie jednym z faktycznych celów walczącej Ameryki. Znalazło to choćby wyraz w znanej książce W. Wilkiego.

Szef Unii Południowo-Afrykańskiej generał Smuts, dawny wódz pokonanych Burów, który tak znakomity interes zrobili na swej klęsce, doskonale zna korzyści, jakie może osiągnąć mniejszy organizm przez włączenie się do większego, na zasadach wolności i równości. W swej mowie z jesieni 1940 roku postulował on stworzenie Stanów Zjednoczonych Afryki. Później już tego rodzaju propozycji nie ponawiał, może uświadomiony przez kogoś życzliwego, iż Stany Zjednoczone całej Afryki siłą rzeczy musiałyby się stać przedmiotem dominacji murzynów, a nie białych i że rządzący murzynami w Unii Południowo-Afrykańskiej biali nie koniecznie zrobiliby tam najlepszy interes. Nie mniej wolno przypuszczać, iż myśl Pan-Afryki tkwi w umysłach afrykańskich mężów stanu, choć centrum jej nie są Stany Południowej Afryki, lecz raczej kraje arabskie. Pewne oznaki tego dostrzec możemy w postulatach i postępowaniu jednoczących się krajów arabskich, który to proces łatwo może rozszerzyć się na wszystkich mahometan zachodniej Azji i Afryki, z kolei na murzynów. O ile komplikacje azjatyckie wypływają z różnorodnej struktury etnicznej, religijnej i politycznego tego wielkiego obszaru, o tyle komplikacje afrykańskie biorą swe źródło w fakcie, iż w gruncie rzeczy Afryka jest jeszcze kolonią państw białych.

W Europie — kontynencie, który opornie poddaje się tego rodzaju procesowi różne państwa wielokrotnie postulowały konieczność jakiej zbiorowej organizacji kontynentu. Z tym jednakże, że o ile jedni myśliciele i mężowie stanu mówili raczej o organizacji tylko jednego kontynentu, o tyle inni — bardziej dalekowzroczni i przewidujący — postulowali jedność całego świata. O ile jedni — nie przesądzają i nie domagają się (poza ogólnym określeniem „demokratyczności") jednolitej organizacji społecznej i wewnętrzno - politycznej wszystkich zjednoczonych narodów, o tyle inni taką właśnie jednolitość — nie przesądzając jej zasadniczego charakteru — uważają za nieodzowny warunek skuteczności i trwałości owego zjednoczenia. Należy jednak podkreślić, że państwa europejskie od pierwszej chwili walki postulowały konieczność stworzenia po wojnie jakiejś podrzędnej, uniwersalistycznej organizacji politycznej współpracy narodów.

Na marginesie warto zwrócić uwagę na to, jak mocne były jeszcze do niedawna w społeczeństwach opory przeciwko koncepcjom federalnym, łączącym się — rzecz naturalna — zawsze z koniecznością

Ciąg dalszy na str. 6-ej

Tydzień kulturalny

„WARSZAWA 1945"

W MUZEUM Narodowym w Warszawie została otwarta wystawa plansz prof. Tadeusza Kulisiewicza, obejmująca 75 pozcji w tuszu, piórku i ołówku, obrazująca Warszawę 1945 r. Kulisiewicz jest uczniem prof. Skoczylasa i był członkiem stowarzyszenia artystycznego „Ryt". Wystawa „Warszawa 1945" jest niewątpliwie wielkim osiągnięciem artysty, przedstawiając bogato i rozlicznie obraz zniszczeń stolicy. Plansze Kulisiewicza są kompozycjami malarsko-rysunkowymi, o słabym natężeniu kolorów, pełnymi ekspresji, grającymi tonacjami przeważnie jednej barwy.

WYKŁADY DLA DUCHOWIEŃSTWA O PROBLEMATYCE RODZINNEJ.

W DNIACH 25 i 26 lutego odbył się w Katowicach cykl wykładów na temat „Rodzina współczesna i jej potrzeby". Podczas licznie obesłanego przez duchowieństwo śląskie kursu wykłady— poza słowem wstępnym ordynariusza śląskiego, księdza biskupa Adamskiego — wygłosili:

Walenty Majdański: „Błogosławieństwo rodziny wielodzietnej",

Prof. dr Bross: „Lekarz i akuszerka wobec spędzania płodu",

Ks. red. Piwowarczyk: „O ekonomicznych podstawach rodziny polskiej",

P. Rutkowska: „Rodzina jako środowisko życia religijnego",

Ks. prof. dr Wicher: „Wychowywanie młodzieży, zwłaszcza męskiej do czystości",

Dr med. Łukaszewicz: „Przez utrzeźwione rodziny do utrzeźwionego narodu".

W ciągu kilku dni po kursie W. Majdański wygłosił szereg prelekcyj o problematyce rodzinnej w kilku miastach śląskich, albo przed audytorium górniczym, albo inteligenckim.

Inicjatywa księdza biskupa Adamskiego musi obudzić najwyższą wdzięczność w całym społeczeństwie, problem bowiem rodzinny jest dziś nie tylko centralnym zagadnieniem Kościoła w ogóle, ale fundamentalnym dla nowej Polski. Zainteresowanie nim duchowieństwa śląskiego przyśpieszy, jak sądzimy odrodzenie rodziny na Śląsku, na tym Śląsku, którego zdrowe życie rodzin i ich wielka płodność zdecydowały po pierwszej wojnie światowej o wyniku plebiscytu, a przedtem — o przetrwaniu ludu śląskiego i Śląska w wierności Polsce. Jak wiadomo, w drugiej połowie XIX wieku płodność rodzin na takim np. Śląsku Opolskim była jedną z najwyższych, jakie wogóle notowano dotychczas w świecie i wynosiła około 50 na tysiąc w stosunku rocznym. Obecnie Śląsk zaledwie... nie wymiera.

NOWE WYDAWNICTWA NA 10 LECIE ŚMIERCI KAROLA SZYMANOWSKIEGO

UOPOMINALIŚMY się o jak najszersze uczczenie pamięci Szymanowskiego i propagowanie jego twórczości w sposób jak najprzystępniejszy. Dobrze się stało, że Polskie Towarzystwo Muzyczne wydaje serię wspomnień, którą zapoczątkowują wydane w najbliższym czasie „Spotkania z Karolem Szymanowskim" Jarosława Iwaszkiewicza oraz „Wspomnienia o Karolu Szymanowskim" J. M. Rytarda. Publikacja tych wspomnień zapoczątkowuje wydanie szeregu materiałów do biografii Szymanowskiego.

Polskie Wydawnictwo Muzyczne wydało już następujące utwory Szymanowskiego: Preludium i Fugę na fortepian oraz 2 Pieśni Kurpiowskie w transkrypcji I. Dubiskiej i J. Lefelda. Przygotowywane są do druku pieśni do słów J. Joyce'a i Dawydowa. Poza tym działalność edytorska Wydawnictwa nie zamknie się tylko w tych ramach. P. W. M. zamierza bowiem wydać wszystkie nie ogłoszone dotychczas drukiem kompozycje Szymanowskiego, m. in. „Litanię" i „Mandragorę", w sprawie której toczą się pertraktacje z właścicielami praw autorskich należącymi do wydawców zagranicznych.

„KRÓL-DUCH" PO CZESKU

PROF. Adolf Czerny, jeden z wielkich przyjaciół Polski, zakończył pracę nad przekładem czeskim arcydzieła Słowackiego. Nad przekładem tym pracował prof. Czerny kilkanaście lat.

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran

OGARNĘŁA go ponura, pełna niewysławionego lęku senność. W oczach ciemniało mu chwilami do tego stopnia, iż zdawało mu się, że już noc nastąpiła. Próbował ścisnąć pięście, ale nie miał siły nawet ich zamknąć. Pasował się przez dłuższy czas z sobą, ale czuł, że o własnej sile nie wydostanie się z tego położenia. Nie bał się zresztą śmierci, która w tej chwili wydała mu się upragnioną wybawicielką ze straszliwych cierpień, ale bał się samotności. Bał się samotnego konania. Słyszał niezrozmiałe szepty Szlissela i Szwutkego, wiedział, że są to ludzie, których jego śmierć nic a nic nie obejdzie, ba! którzy sami gotowi są go uśmiercić w przystępie złego humoru, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać wreszcie twardo i spokojnie:

— Czy mogę usiąść?

Obaj podnieśli głowy i spojrzeli nań groźnie. Potem znowu obaj wrócili do przerwanej rozmowy, jakby nigdy nic nie zaszło.

Kłosowi było jednak już wszystko jedno. Wiedział, że pod oknem stoi jakaś niezmiernie krucha i powyginana, a kwieciście obita kanapka. Tam się skierował ciężkim powolnym krokiem. Za chwilę siedział już na niej z opuszczoną głową. Cóż go obchodziło, że obaj zwierzchnicy znowu patrzą nań z oburzeniem, czy tylko z nieżyczliwą uwagą? Słabość obejmowała go coraz bardziej. Wobec tego opuścił głowę na twardą powyginaną poręcz. Zrobiło mu się jeszcze bardziej słabo.

— Umieram — zdołał wyszeptać i położył oba buty na przeciwległej poręczy.

W oczach było mu już ciemno zupełnie. Słyszał tylko, że obaj dygnitarze zerwali się zza biurka.

— Was ist denz das? — zapytał na pół groźnie, a na pół z niepokojem lejtnant Szlissel.

Potem posłyszał szybkie kroki w swoim kierunku.

— Kłos! Kłos! — rozległ mu się tuż nad uchem głos Szwutkego. — Co ty wyrabiasz, do jasnej cholery? Upiłeś się znowu, czy co?

— Umieram — zdołał znowu wyszeptać.

— To sobie umieraj, głupi draniu, tylko nie tu.

Kłos zamknął oczy. Tylko od czasu do czasu oddychał ustami z niezmiernym wysiłkiem. Słyszał jednak, jak Szwutke mówił półgłosem:

— Herr Leutnant, haben sie Schnapps?

Po pewnym czasie ktoś uniósł mu głowę i dzwonił brzegiem szklanki o zęby.

— Kłos! Kłos! Napij się trochę!

Rozchylił usta. Poczuł woń koniaku. Gryzący płyn napełnił mu jamę ustną i spłynął kącikami ust po brodzie.

— Pij, pij! Kurwa twoja mać!

Kłos próbował przełknąć, ale zakrztusił się, i część płynu wylała mu się znowu na szyję. Leżał więc nadal w zupełnej bezsilności i rozpaczy.

„Nie mam już nikogo na świecie. Wszyscy mnie nienawidzą, i wszyscy mną pogardzają. Wyrzekł się mnie rodzony ojciec. Wyrzekła rodzona matka. Własna żona uciekła ode mnie z dziećmi. Całe rodzinne miasto stroni ode mnie, jak od zapowietrzonego. Może za chwilę umrę, ale nie ma przy mnie nikogo oprócz drania gestapowca i tej świni, folksdojcza Szwutkego. To tak Pan Bóg mnie gnębi, żebym się nawrócił. Że jak trwoga — to do Boga. Ale nie doczeka się tego. Oh, żebym jeszcze zebrał trochę sił! Oh, żebym mógł jeszcze dostać Lodzie w swoje ręce. Jeżeli Bóg jest wszechmocny — niech tego dokona, a wtedy uwierzę!

Trzymał oczy zamknięte, i nic go nie obchodziło, co się wokół niego dzieje: jakieś kroki, jakieś rozmowy, jakieś trzaskanie drzwiami...

W pewnej chwili uczuł, że mu ściągają kurtkę, otwierają koszulę na piersiach i przytykają coś do serca. Zmiarkował, że go badają. Potem zawijano mu rękaw na lewej ręce. Następnie zaczęto mu ściskać ramię powyżej łokcia, aż go zaszczypało. Otworzył oczy. Jakaś młoda panienka w jasnym płaszczyku od kurzu krępowała mu ramię wstążką gumową. Olbrzymi brodaty mężczyzna w granatowym płaszczu napełniał tymczasem wielką strzykawkę z równie wielkiej ampułki. Obrazy te zaciemniały mu szereg czarnych kół, stojących przed czyma. Gdy zamknął oczy, koła zmieniały znowu barwę na jasno-zieloną.

„Koniec!" — pomyślał. „Widocznie przekonali się, że nic ze mnie nie będzie i chcą mnie wykończyć".

Wiedział dobrze, że wszyscy niemieccy lekarze w obozach, gdy tylko stwierdzili cięższą chorobę u Polaka, natychmiast dawali mu śmiertelny zastrzyk. Zamknął oczy. Pod powiekami został mu nadal szereg zielonkawych kręgów. Chwyciła go rozpacz. „To już ostatnie, które zobaczę na tym świecie".

Znowu otworzył oczy. Poprzez olbrzymi czarny różaniec, stojący mu przed źrenicami, zobaczył, że brodacz z natężeniem naciska tłok strzykawki.

„Mordują mnie" — uświadomił sobie.

Z ledwością wstrzymał się, żeby nie zacząć krzyczeć o pomoc. Uświadomił jednak sobie, że to na nic się nie zda. Wobec tego zebrał ostatnie siły woli, żeby zachować się spokojnie.

Naraz poczuł, że wszystkie nerwy napełnia mu tak dawno nieznany spokój. Zielonkawe kręgi rozpłynęły mu się w jednolitym żółtym tle. Całe ciało ogarniała mu dobroczynna senność. Czuł się beztroski i szczęśliwy.

„Czyżby tak wyglądała śmierć?".

Tymczasem w dalszym ciągu zanikała w nim dotychczasowa słabość, rozpacz, uczucie niezmiernego lęku. Zniknął nareszcie nieznośny niepokój w kończynach. Ogarniało go błogie znużenie, jakby spoczął nareszcie wygodnie w łóżku po ciężkim codziennym trudzie. Nawet gdzieś się podziały tak częste natrętne i przykre myśli. Wszystko było jasne, pogodne, uśmiechnięte i radosne.

Usłyszał nad sobą groźny bas:

— Dałem panu zastrzyk z glukozy na podtrzymanie serca wraz z romnifenem, silnym środkiem nasennym. Teraz powinien pan spać. Ale jak pan kiedy znowu się urżnie, a nie będzie natychmiast ratunku, to już ferfał dy klaczkies mit glances kopytkies.

Kłosowi nie chciało się odemknąć oczu.

„Co to znaczy postęp i medycyna. Już myślałem, że znowu napadną na mnie diabli. Ale dziś doktorzy nawet z diabłami dadzą sobie radę. Już nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak strasznie się czułem niedawno. Co on mówi? Żebym nie pił? W życiu swoim nie wezmę do ust kropli wódki, ani nawet piwa!".

Uświadomił już sobie, że leży w szpitalu powiatowym, i że brodacz o basowym głosie — jest to znany powszechnie w całym mieście doktór Szałasiński.

XXII.

Jeszcze tydzień przeleżał Kłos w łóżku. Jak to zwykle bywa w szpitalu, przyplątała mu się jakaś gorączka, dreszcze. Pielęgnowano go starannie. Wreszcie wyszedł całkowicie zdrów i wytrzeźwiony, chociaż nieco osłabiony. Wezwano go do Szutkego, gdzie podpisał w kancelarii jakieś papiery, które mu podsunięto, a których treści nie znał zupełnie, pisane bowiem były po niemiecku. Wreszcie zawołano go do gabinetu samego kierownika. Szwutke na jego widok powstał z fotela, wyszedł zza biurka i podał mu rękę z uroczystą powagą.

— No, słuchaj, Franz. (Po raz pierwszy nazwał go w ten sposób). Należysz już od tej chwili do narodu niemieckiego. Zrobiła cię Niemcem twoja odwaga i twoja dzielność. Masz tu niemiecką kennkartę. Pamiętaj, żebyś jej nie splamił tchórzostwem, niezdecydowaniem, czy też tą waszą polską miękkością. Zwłaszcza nie powinieneś się nigdy ześwinić litością dla wrogów. Wszyscy wrogowie Niemiec muszą zginąć! Rozumiesz?

— Tak jest.

— No! A tu masz kartę urlopową na dwa tygodnie. Możesz sobie jechać choćby zaraz i poszukać swojej baby. Ale jak ją w końcu znajdziesz, to pamiętaj, że jesteś już Niemcem! Nie wolno ci się z nią cackać. Albo podda się całkowicie twojej władzy i woli, albo... Rozumiesz?

Tu chwycił Kłosa za ramiona i ucałował go w oba policzki.

Kłos wyszedł wzruszony aż do łez. W ostatnich dniach wogóle ciągle chciało mu

Ks. Dr. Eugeniusz Dąbrowski

Kulisy pewnej przedmowy

Giuseppe Ricciotti należy do najsympatyczniejszych postaci współczesnego Rzymu. Po kilkunastu latach nauczania w państwowym Uniwersytecie Rzymskim osiadł w czarownym ustroniu bazyliki San Pietro in Vincoli, do której zdążają wszyscy celem ujrzenia wspaniałego posągu Mojżesza, dłuta Michała Anioła. Okalający bazylikę plac jest zawsze zaciszny. Pałac Borgiów wznosi się w pobliżu, a wystarczy uczynić kilka kroków, aby jednym rzutem oka objąć Kolosseum, Złoty Dom Nerona i Forum Romanum u stóp Palatynu.

Od lat 25-ciu Ricciotti wydaje dzieła orientalistyczno-biblijne, które postawiły go w rzędzie wybitnych znawców tych zagadnień. Słynnem jest zwłaszcza jego dzieło o Chrystusie p. t. Vita di Gesu Cristo (1941). Dzieło to jest jednym z największych sukcesów wydawniczych we Włoszech. Dotychczas ukazało się 10 wydań w imponującej liczbie niemal 100.000 egzemplarzy. Przetłumaczono je na szereg języków współczesnych. W czasie rozmowy z Ricciottim miałem możność oglądania tłumaczenia na język duński, dokonanego przez ks. Schindlera.

W roku 1946 Ricciotti wydał nowe dzieło poświęcone życiu i działalności św. Pawła Apostoła. Tym razem wydaniem zajęła się „Tipografia Poliglotta Vaticana". Nie tu miejsce na szczegółowe omówienie walorów tej, ze wszech miar zasługującej na uwagę publikacji. Mógłbym zaznaczyć tylko krótko, że prawie nie ustępuje ona pod żadnym względem wspomnianemu powyżej życiorysowi Chrystusa.

To na co chciałbym zwrócić uwagę dotyczy już nie dzieła, ale jedynie przedmowy, przedmowy znamiennej już w samej swej treści, a bardziej jeszcze przez echa i reakcje jakie wywołała.

Oto jej zasadnicza treść w tłumaczeniu ks. Mg. Tadeusza Milka:

Podobno w czasie Sacco di Roma w 1527 r. słynny kardynał Kajetan, siedząc w swym mieszkaniu, nie przerywał pisać traktatów teologicznych z niezmąconym spokojem. Na mieście żołdacy niemieccy mordowali, grabili, palili, idąc wiernie za tradycjami swych przodków — Gotów Alaryka i Wandalów Genzeryka, którzy swego czasu podobnie pustoszyli Rzym. Kardynał zaś, zamknąwszy się w domu, pisał ciągle. To jego zachowanie się, nie było wszakże objawem zobojętnienia, lecz raczej próbą reakcji i opozycji. Nie mógł przecież kardynał Kajetan środkami materialnymi przeciwstawić się żołdackim halabardom i muszkietom. Wiedział zato doskonale, że barbarzyńców tych pchają do zbrodni nie tylko oddziedziczone instynkty, lecz również nadrzędne idee rasy i religii. Przeciw tym właśnie ideom walczył i dlatego nie przestawał pisać aż do dnia, w którym i sam został uwięziony.

To moje dzieło, po większej części, było pisane w okolicznościach i warunkach podobnych do tamtych, mianowicie podczas nowego Sacco di Roma dokonanego przez Niemców od września 1943 r. do czerwca 1944 r. Tradycje rasy germańskiej ujawniły się w pełni w tym nowym Sacco, jakże podobnym do pierwszego, choć niewątpliwie dokonywanym z większym wyrafinowaniem świadczącym o przejęciu się duchem t. zw. kultury.

Jeśli np. żołdacy z XVI w. zapalili ognisko pod freskami Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej to prawdopodobnie w celu ugotowania sobie żołnierskiego posiłku. Przeciwnie, jeżeli ich następcy z XX w. podłożyli ogień pod dwa okręty rzymskie na jeziorze Nemi — wydobyte z wody po tylu wiekach, jedyne okazy w całym świecie — uczynili to znowu w imię „Kultury", a nie dla przyrządzenia sobie strawy.

Podczas nowego Sacco dom mój zapełnił się Żydami i innymi nieszczęśnikami. Dla nich, jak i dla innych ukrytych gdzie indziej należało starać się o środki aprowizacyjne, których brak stale odczuwać się dawał. Było się szpiegowanym i śledzonym ze stale grożącą możliwością znalezienia się w którejś z. naukowo urządzonych cel tortur, pozakładanych przez Niemców w Mieście. Ale wszystko poszło dobrze i szwaby nie odkryli niczego (a dlatego m. inn., że choć niebywale hojnie uposażeni w bestialską brutalność

ciszka Kłosa (16)

się płakać. Ale tym razem były to raczej łzy radości.

Właśnie gdy już był przekonany, że zapadł się całkowicie i ostatecznie w bezdnię osamotnienia i zagłady — wszystko się odmieniło. Znowu znalazł ludzi życzliwych w obcych dotychczas sobie i groźnych zwierzchnikach niemieckich. Nie wątpił, że teraz wszelkie jego sprawy wezmą obrót równie pomyślny. Pojedzie w Kieleckie, odnajdzie tam swoją żonę, zmusi ją do powrotu, założy nowy dom już nie w tym ponurym i wrogim mieście... Może zresztą uda mu się porzucić służbę w policji. W każdym bądź razie skończył się okres nienawiści, szału, zbrodni i niedoli tak strasznej, że nigdy nie przypuszczał, iż można było przeżywa coś podobnie strasznego.

Pełen radosnego oczekiwania ruszył w miasto.

Rzeczywiście ludzie, których spotykał, pozdrawiali go uprzejmie i z uśmiechem, jakby radowali się jego widokiem. Nie wiedział jednak, że całe miasto miało już dokładne, a miejscami nawet grubo przesadzone sprawozdania o jego wyczynach w czasie nieudanej egzekucji, tudzież o tym, że w nagrodę za swoje zbrodnie, został przyjęty na łono narodu niemieckiego. Każdy więc bał się po prostu narazić się mu choćby w najlżejszym stopniu. „Takie zwierzę zdolne jest przecie do wszystkiego. Wystarczy, że wyrzekła go się rodzona matka i że opuściła go własna żona i dzieci“. Zresztą wszyscyśmy żyli jeszcze pod wrażeniem straszliwego pogromu na rynku. Poza tym ciągle jeszcze trwały aresztowania. Nie było też dnia, żeby przynajmniej jedna rodzina nie otrzymała wezwania z gestapo po odbiór rzeczy, pozostałych po umęczonym swoim członku.

Na posterunku, gdzie Kłos skierował pierwsze swoje kroki, przyjęto go z radością i z zainteresowaniem pytano go o zdrowie. Oczywiście wszystko to było wymuszone i udane. Ale Kłos nie wymiarkował tego zupełnie, ze szczerą wdzięcznością przyjął te objawy rzekomej życzliwości. Uderzyła go natomiast zupełna pustka w urzędzie, oprócz bowiem dyżurnego, zastał tam jeszcze tylko jednego posterunkowego, rannego zresztą w prawą rękę podczas jakiejś rozprawy z bandytami, czy partyzantami.

— Co się u was stało? Zaraza morowa, czy co?

— Prawie wszyscy żandarmi wyjechali do Lemieszowa. Jakaś banda wysadziła most kolejowy pod Borkkiem Lemieszowskim i spowodowała katastrofę ekspresu berlińskiego w odwet za egzekucje warszawskie. Narobili kupę mięsa, głównie wśród urlopowanych i rodzin urzędników niemieckich z Warszawy. Oprócz tego w samym Lemieszowie była próba rozbicia więzienia, a podczas łapanki strzelano do żandarmów.

— No, a gdzie nasi chłopcy?

Dopiero powiedziawszy to, przypomniał sobie, że on sam jest już przecie Niemcem.

— Właśnie przyszła wiadomość o napadzie na dwór w Rakowej Woli. Poza tym trzeba patrolować tory, bo ciągle powtarzają się zamachy na pociągi, idące do Niemiec.

— W takim razie miasto zostało prawie bez obrony?

Dyżurny uśmiechnął się i zaraz zakaszlał wymuszenie.

— Ba! Nawet czarni rozeszli się po torach. Pierwsza lepsza banda mogłaby opanować całą Brodnię, bo i wojsko wymaszerowało na ostre strzelanie.

Kłos poczuł lekki niepokój.

— Prędko wracają Niemcy?

— Wyjechali dopiero z godzinę temu, czyli o jakiejś pierwszej, pół do drugiej. Wygląda, że zanosi się tam na jakąś poważniejszą akcję. Przed nocą chyba nie zdążą.

— Tak...

Kłos przyciągnął pasa i poprawił pochwę z rewolwerem.

— Dowidzenia!

Wyszedł na pustą ulicę i zawahał się, gdzie iść dalej. Miał początkowo zamiar udać się do swojego mieszkania, ale zrobiło mu się zimno na przypomnienie pustki, jaką tam zastanie. Poza tym bał się. Nie wobrażał sobie, jak tam będzie mógł sam jeden nocować.

„Najpierw trzeba będzie zobaczyć rozkład pociągów“.

Skierował się w stronę dworca. Zawsze jest tam trochę bezpieczniej. Pomimo, że mieliśmy już wtedy początek listopada, dzień był dość pogodny i ciepły. Kłos szedł osłonecznioną stroną ulicy. Słońce świeciło tak blado, że można było niemal patrzeć w jego tarczę. Zniżało się już zresztą ku zachodowi, choć było zaledwie parę minut po drugiej. Ale za okupacji obowiązywał czas, przesunięty naprzód o godzinę.

Skręciwszy w stronę restauracji Chomińskiego, Kłos poczuł głód. „Trzeba by coś zjeść na obiad“.

W bufecie, jak zwykle, siedziało paru z naszej gromadki. Był tam burmistrz Korkowski, maszynista kolejowy Fanfara z synem, byłym studentem, a obecnie pracującym na kolejce elektrycznej, Chomiński i ja.

Udzielaliśmy sobie wzajem ponurych wiadomości o masowych rozstrzeliwaniach aresztowanych w zlikwidowanym już ghetcie warszawskim i o publicznych egzekucjach na ulicach. Na Senatorskiej miano rozstrzelać trzydziestu lekarzy. Chomiński, który jeździł ostatnio po wódki gatunkowe, widział na własne oczy gdzieś na Grójeckiej gromadę kleryków z seminarium duchownego, powieszonych rękami na balkonach. Opowiadano również szczegóły o mordowaniu doszczętnym ludności polskiej w Zamojszczyźnie. Przy tej sposobności Chomiński powsiadł na tajne organizacje.

— Wszystkim naszym nieszczęściom i zawsze winna jest młodzież. W takiej sytuacji, w jakiej się obecnie znajdujemy, powinniśmy sobie postawić jeden jedyny cel: przetrwać z jak najmniejszymi stratami dla narodu. Tak robią Czesi, i zobaczycie, że po wojnie będą mieli więcej do gadania od nas, choć prawie żadnych ofiar nie ponieśli.

Młody Fanfara, który nader ciekawie, a nawet z lubością, oglądał kanapki z kiełbasą i z boczkiem, tudzież kotlety siekane na zimno, ułożone piętrowo za szybą na bufecie, odwrócił się naraz zdumiony.

— To pan uważa, że powinniśmy dać się wymordować bez żadnego sprzeciwu?

— A cóż pomoże sprzeciw? Za jednego zabitego Niemca giną naszych dziesiątki i setki.

— Bo oni naszych mordują bez wyboru, a my wybieramy tylko najszkodliwszych.

— No i co z tego? — pytał Chomiński, wycierając i sprawdzając pod światło szklanki przy lodówce z piwem. — Na miejsce jednego zabitego drania znajdzie się zawsze dziesięciu jeszcze gorszych. Jeśli nie Niemców, to Ukraińców, Litwinów, diabłów czy choćby naszych foksów. Suma sumarum ich przybywa, a nas ubywa z każdym dniem. W ostatnich czasach wydano podobno kilkanaście nowych kennkart folksdojczerskich. Między innymi także i Frankowi Kłosowi. A myśmy w samej tylko Brodni ilu stracili i tracimy ciągle?

— A przedtem, nim zaczęliśmy kontrakcją, nie traciliśmy?

— Przedtem traciliśmy. Ale jak przedtem raz na pół roku zdarzył się jakiś Wawer, to nam się zdawało, że już cały świat zatrzęsie się od grozy. A dzisiaj — dzięki wyczynom naszych bohaterów — takie Wawry stały się chlebem codziennym

Stary Fanfara ruszył na odsiecz synowi. Zerwał się z krzesła i podszedł w szarym zasmolonym ubraniu z również zasmoloną twarzą do Chomińskiego, chwycił go za ramię i powiedział drwiąco:

— Trochęś się pan zagalopował, kochany Chomiński. Cały świat walczy, to tylko my mamy z założonymi rękami czekać, aż nam Polskę podarują?

— Myśmy wojowali już wtedy, gdy nawet nikt się nie ruszył. A i od tego czasu, gdzie nie było słychać o Polakach? Od Narwicku po Toruk — odburknął Chomiński, wyrywając Fanfarze ramię i w dalszym ciągu wycierając zawzięcie naczynia.

(D. c. n.),

---

są raczej pozbawieni lotnej inteligencji, tak, że łatwo ich było wyprowadzić w pole).

W każdym razie, dokonawszy tych drobnych przysług dla ściganych nieszczęśników, wypadało coś uczynić i dla najnieszczęśliwszych prześladowców, a to przez zwalczanie władnących nimi mitów, identycznych z ideami soldateski germańskiej z czasów kard. Kajetana.

Kiedy po upadku Hitlera, można było mówić swobodnie, czytałem z żywym zadowoleniem sądy różnych uczonych — jak najbardziej dalekich od wszelkich uprzedzeń wyznaniowych, a nawet często wrogich katolicyzmowi — którzy podkreślali ścisłe pokrewieństwo duchowe między Hitlerem i Lutrem, nazizmem i luteranizmem, nie wyłączając pośredników: Hegla, Fichtego, Treitschkego i innych. Taki był właśnie mój skromny pogląd, urobiony już przed wielu laty. I to pokrewieństwo da się spostrzec nie tylko w dziedzinie politycznej, ale też w zakresie nauk historyczno - religijnych, które najczęściej poprzedzają i przygotowują doktryny polityczne. Korzenie dzisiejszego racjonalizmu i bezbożniczego laicyzmu tkwią w duchowym świecie Lutra, wielkiego rozbijacza jedności katolickiej i europejskiej.

I rzeczywiście — ustosunkowanie się wielu krytyków współczesnych, duchowych synów Lutra, choćby nawet nie Niemców, do dokumentów pierwszych wieków chrześcijaństwa przypomina zupełnie metody traktowania ludów podbitych przez Hitlera. Niewolnictwo, albo zagłada: niszczy się doszczętnie jakiś naród, jak odrzuca dokument, dla tej jedynie przyczyny, że naród nie postępuje, a dokument nie mówi jak chce Hitler, czy krytyk. Jest to nowy „kategoryczny imperatyw“, t. j. nowy Ersatz, namiastka Boga, spreparowana w laboratorium luterańskim.

Dla tych właśnie mych poglądów naśladowałem Kajetana biorąc się do pracy o św. Pawle. Gdyby w owych dniach św. Paweł wpadł w ręce Hitlera, zostałby niechybnie ścięty po raz wtóry, czy dlatego że był Żydem, czy dla tej przyczyny że śmiał głosić o równości Żyda i Niemca (czy innego aryjczyka) wobec Boga.

Właśnie ten furor teutonicus Hitlera był dostateczną racją by przeciwstawić mu władczą pogodę św. Pawła. Poza tym, jeśli świat chce się dźwignąć z ruin, powinien wrócić do zasad głoszonych przez św. Pawła, a nie do doktryn Hitlera i Lutra.

Na początku drugiej wojny światowej wydałem Vita di Gesu Cristo (Żywot Jezusa Chrystusa), a nadzwyczajne powodzenie tej książki we Włoszech i zagranicą wskazywało, że byłem na dobrej drodze. Pozostawało więc bym rozciągnął na Ucznia to, com rzekł o Mistrzu. Tak zamknąłby się cykl, którego dokonałem wydając Storia d'Izraele (Dzieje Izraela) z paralelnym Flavio Guiseppe tradotto e commentato (Józef Flawiusz. Tłumaczenie i komentarz), potem Vita di Gesu Cristo i w końcu Paolo Apostolo (Paweł Apostoł).

Tyle przedmowa. Któż z nas nie widzi, że wojenne doświadczenia Ricciotti'ego tylko w niewielkim stopniu z naszymi porównane być mogą. Brak w nich wiele tragicznych momentów, które przeżywaliśmy osobiście. I gdym mu o nich opowiadał patrzał na mnie z nieukrywanym przerażeniem, niemal że z trwogą. Zdecydował się wówczas na ujawnienie, że tuż po ukazaniu się książki od przebywających w Rzymie księży niemieckich otrzymał szereg listów, przeważnie anonimowych, a niekiedy podpisanych pełnymi nazwiskami (znam niektóre nazwiska i wprowadziłyby one duchowieństwo polskie w prawdziwe zdumienie) — grożących autorowi niesłychanymi jakimiś konsekwencjami, jeżeli nie odwoła obelg pod adresem narodu niemieckiego i jego kultury.

Na jeden list tylko odpisał Ricciotti z powagą i godnością, które chlubnie świadczą o jego charakterze i sile przekonań: gróźb się nie ulęknie i przedmowy nie zmieni. Nie zmieni tymbardziej, że od Ojca Św. Piusa XII, otrzymał specjalne podziękowanie za wydaną książkę i błogosławieństwo — co dla wszystkich ma swoją wielką wymowę.

Pierwsze wydanie książki zostało od dawna wyczerpane i w chwili, gdy to piszę przygotowuje się wydanie drugie. Jestem niezmiernie ciekaw, czy wskutek jakichś zakulisowych wpływów, przedmowa nie zostanie w nim zmieniona. Tymczasem ks. Guiseppe Ricciotti ze swego okna na Piazza San Pietro in Vincoli patrzy na Rzym i wzorem kardynała Kajetana — pisze. Życzę mu, żeby jeszcze nie jedno znakomite napisał dzieło. Ale nie zmieniał przedmowy.

Tydzień kulturalny

DOSKONAŁY POMYSŁ

KIEROWNICZE czynniki słowackiego życia kulturalnego powołały do życia instytucję literackich redaktorów odpowiedzialnych wydawanych książek. Osoby, którym zostanie powierzona funkcje tego rodzaju, zatwierdzane będą na tym stanowisku przez Słowacką Radę Naukowo-Artystyczną. Akcja ta ma na celu całkowite wyplenienie tandety literackiej, szerzącej się ostatnio po wojnie.

Projekt jest doskonały i wypadałoby się zastanowić, czy by i w Polsce nie wprowadzić tego rodzaju instytucji. Zalew tandety i u nas jest coraz większy, a przykładem mogą służyć choćby książki wydawane przez wielkie spółdzielnie wydawnicze, w których aż roi się od niechlujstw i błędów. Może wtedy nie ujrzą światła dziennego podobne książki, jak np. „Wielki cień“ Pytlakowskiego, wyd. nakładem „Czytelnika“, będące świadectwem złego smaku wydawcy i nieodpowiedzialności za słowo autora. Takie pasusy, jak np. „Ten trzydziestoletni młodzieniec od a do zet był brunetem, co przy różowości cery mogło uchodzić za nienaturalne“ (str. 118), czy też „Siedziała teraz jakby zmęczona wyciągnąwszy przesadnie swoje zgrabne opalone obnażone do połowy ud nogi, które wyglądały jak piękne błyszczące i drażniące kolumny“ (str. 114) — oto przykłady wybrane na chybił trafił — dyskwalifikujące nie tylko autora, lecz i wydawnictwo. A jeśli tak, jak u Pytlakowskiego obok takich drobnych niedociągnięć i usterek mamy rażące fałszowanie rzeczywistości i co tu dużo mówić — poziom literacki w typie Mniszkówny, to któż odpowiada za obniżenie poziomu beletrystyki polskiej? Już choćby z przykładu tej książki widać, że funkcja literackiego redaktora odpowiedzialnego, którego nazwisko byłoby publikowane, byłaby niesłychanie pożyteczną

NIEPOWETOWANA STRATA

DO rzędu niepowetowanych strat w dziedzinie kultury należy zaliczyć zniszczenia, wywołane na skutek pożaru biblioteki biskupiej w Pelplinie, w czasie którego pastwą płomieni padło 10 tysięcy bezcennej wartości tomów. Dzięki energicznej akcji straży pożarnej i pomocy jednostek wojskowych udało się uratować około 30 tysięcy dzieł.

„WISŁA MILCZY“

NOWOJORSKI wydawca Longmans, Green & Co wydał książkę uczestniczki kampanii 1939 (odznaczonej za nią Krzyżem Walecznych) i powstania warszawskiego, porucznika AK Ireny Orskiej p. t. „Silent is the Vistula“. Niestety, talent literacki autorki wspomnień z lat okupacji nie stoi na odpowiedniej wyżynie, by dać należyty wyraz tym wypadkom, których była naocznym świadkiem.

PAMIĘTNIKI PADEREWSKIEGO

WYDANE w 1939 r. nakładem nowojorskiej firmy Ch. Scribner's Sons, obejmujące pierwszą część wspomnień, doprowadzonych do roku 1914 „The Paderewski Memoire“, cieszą się w Stanach Zjednoczonych nadal wieką poczytnością i stanowią jedną z najpopularniejszych książek. Pamiętniki te pisane po angielsku przy współpracy Mary Lawton, osiągnęły szereg wydań i zostały przez prasę amerykańską zaliczone do t. zw. „bestsellerów“. Obecnie przygotowywany jest przekład na język polski.

DAR OJCA ŚWIĘTEGO PIUSA XII DLA KOŚCIOŁA PARAFIALNEGO NA KAMIONKU

PODCZAS pobytu w Rzymie Ks. Eugieniusza Dąbrowskiego, proboszcza par. Bożego Ciała w Warszawie na Kamionku, Ojciec Święty Pius XII polecił wręczyć mu dar papieski dla kościoła parafialnego. Pięć ornatów, kapy, mszały, różne księgi liturgiczne, portrety Ojca Św. i dewocjonalia zostały przekazane parafii w dniu 2 m-ca t. j. w rocznicę wyniesienia Ojca Św. na tron papieski. Ponadto 50 rodzin z parafii otrzymało błogosławieństwo Ojca Św. na piśmie.

VOX POPULI

Dokończenie ze str. 3-ej.

uszczuplenia suwerenności narodowych. Im który więc przeciwnik był silniejszy, im pewniej czuł się sam, tak na zewnątrz, jak i na wewnątrz — tym silniej postulował zjednoczenie. Im słabszy — tym bardziej powoływał się na rację bytu małych, kompletnie suwerennych państw. Był to nawet zrozumiały odruch pewnej podświadomej samoobrony. Anglicy o organizacji bezpieczeństwa zbiorowego zaczęli mówić w związku z Kartą Atlantycką, a o koncepcji Stanów Zjednoczonych Europy w marcu 1943 (mowa Churchilla). Niemcy właśnie w tym czasie przestali sławić głośno swoją „Nową Europę".

Wojna została zakończona i w wyniku zwycięstwa narody zjednoczone wspólną walką przeciw Osi — powołały do życia nową instytucję międzynarodową, mającą służyć sprawie powszechnego pokoju, przez swą nadrzędność nad poszczególnymi narodami. Organizacja Narodów Zjednoczonych ma start nader ciężki, ale nie mniej szczęśliwszy niż jej wielka poprzedniczka Liga Narodów; głównie dlatego, iż należą do niej wszystkie wielkie mocarstwa oraz iż ma być wyposażona w militarną egzekutywę. Prócz nadrzędnej niejako Organizacji Narodów Zjednoczonych powstało i rozpoczyna ząbkowanie szereg innych organizacji międzynarodowych czy kontynentalnych, by wymienić tylko takie, jak Międzynarodową Organizację Rolniczą (FOA), jak kontynentalną organizację komunikacji lądowej i rzecznej. Jak wreszcie — last but non least — UNESCO. Wszystkie te instytucje mogą budzić jeszcze uzasadniony sceptycyzm i przez swą nieudolność młodzieńczą, raczej dziecięcą, być znakomitym przedmiotem satyry politycznej i obyczajowej, nie mniej są to najlepsze dowody, wskazujące na przerwanie się kurtyny izolacji narodowej. Należy w tym miejscu również zanotować tą prawdziwa rewolucję na odcinku prawodawstwa, jaka dokonana została tak statutem i wyrokiem Trybunału Międzynarodowego w Norymberdze, jak wyrokami w mniejszych, krajowych, procesach zbrodniarzy wojennych. Jeżeli suwerenność państw nie chroni przed odpowiedzialnością, jeżeli postanowiono na Radzie Bezpieczeństwa ogłaszać stan zbrojeń w poszczególnych krajach, jeżeli powstają plany jednolitego parytetu pieniężnego dla dużej ilości Narodów Zjednoczonych — to są to wszystko znaki, iż została przebita zasłona suwerenności narodowej; „To pierce the voile" — jak nazwali to sędziowie amerykańscy w Norymberdze. Przy wszystkich zastrzeżeniach, jakie można i często należy mieć, sam proces mnożenia się instytucji i więzów międzynarodowych należy uznać za wysoce pozytywny. Każda organizacja międzynarodowa — czy będzie to kościół, czy organizacja zawodowa, gospodarcza, ideowa, naukowa, kulturalna, charytatywna, młodzieżowa (skauting), ba! nawet klasowa — jest w swym założeniu dla sprawy światowego pokoju pozytywną i winna być, bez względu na możność zrealizowania przez nią samą swych ostatecznych założeń, otaczana przez narody troskliwością i przychylnością.

Odzywają się już nawet głosy, domagające się jakiegoś rządu świata.

Czyż cały ten proces, czyż wszystkie jego symptomy, których parę właśnie zarejestrowaliśmy — nie jest pewnym swoistym „vox populi", powszechnym przeświadczeniem ,jakie zgodne będąc z ewolucją historyczną społeczeństw naszej ziemi, świadczy niby ów mocny i bezapelacyjny „vox Dei" o kierunku naszej przyszłości. **Kazimierz Koźniewski.**

Paweł Czartoryski

Kłopoty gospodarcze Anglii

Od chwili zakończenia wojny W. Brytania walczy stale z trudnościami gospodarczymi. Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że są to trudności chwilowe, nieuniknione w przejściowym powojennym okresie. Jednak szukanie istotnych przyczyn tych zaburzeń prowadzi bardzo daleko. Zdaje się, że cały system równowagi gospodarki brytyjskiej został poważnie zachwiany. Dlatego też powstaje problem czy przemiany, jakie dokonują się obecnie w życiu Wielkiej Brytanii — to dążenie do jakiegoś nowego stanu równowagi — czy też do upadku.

Istotne przyczyny gospodarcze obecnych trudności kryją się poza mnóstwem innych czynników i zjawisk natury politycznej i społecznej. Wydaje się jednak, że angielska „public opinio" nie uświadamia sobie dostatecznie ich znaczenia.

Palące zagadnienie chwili — to kryzys węglowy. Obecna produkcja starczy zaledwie na pokrycie wewnętrznego zapotrzebowania, nie dając nadwyżek na eksport. Przed wojną Wielka Brytania zajmowała pierwsze miejsce w światowym eksporcie węgla. Okazuje się, że struktura brytyjskiego przemysłu węglowego nie wytrzymała próby. Istniała wielka ilość małych kopalń, zakłady były rozproszone i rozdrobnione, a stosunki własciwe bardzo zawiłe — tak, że zdarzało się nieraz, iż poszczególne pokłady tej samej kopalni należały do różnych osób. Skutkiem tego większość kopalń nie mogła przeprowadzać inwestycji na większą skalę, ani też prowadzić racjonalnej gospodarki. Stąd też wyposażenie technicznę zakładów było w dużej części przestarzałe. Ponadto organizacja transportu była fatalna. Wiele kopalń posiadało własne tory kolejowe i własny tabor — co znacznie utrudniało transport i podnosiło jego koszty. Polski przemysł węglowy stał znacznie wyżej pod względem technicznym ,posiadał dużo niższe koszty produkcji (co zresztą przypisać należy w dużej mierze taniej sile roboczej) — i doskonale zorganizowany transport. Dlatego też nasz węgiel konkurował z powodzeniem z brytyjskim na rynkach światowych.

Obecnie w związku z nacjonalizacją brytyjskiego przemysłu węglowego przeprowadza się jego reorganizację i modernizację zakrojoną na szeroką skalę. Spodziewać się należy, że braki zostaną w przyszłości usunięte. Mimo to w chwili obecnej przebudowa zaostrza jeszcze trudności okresu przejściowego.

Jednakże główną przyczyną załamania się produkcji węgla jest brak rozwiązania fali dotąd problemu zatrudnienia. Spada wydajność pracy brytyjskiego górnika, zmniejsza się ilość ludzi zatrudnionych w przemyśle węglowym. Rząd brytyjski usiłuje przeciwdziałać temu głównie przez akcję propagandową i przemawianie do poczucia obywatelskiego górników. Te poczynania jednak odnoszą skutek znikomy.

Wchodzi tu bowiem w grę cały szereg czynników. Nie będziemy się zagłębiać w wewnętrzno - polityczne stosunki, które niewątpliwie odgrywają poważną rolę. Weźmiemy pod uwagę jedynie gospodarczy aspekt sprawy.

Gospodarka brytyjska odczuwa w chwili obecnej ogromny brak sił roboczych. Przemysł został w czasie wojny silnie rozbudowany, a realizacja zakrojonych na szeroką skalę planów powojennej odbudowy wymaga olbrzymiego nakładu pracy.

Równocześnie wielkie ilości ludzi, którzy mogli produktywnie pracować znajdują się wciąż jeszcze pod bronią. W związku z tym, popyt na pracę przekracza znacznie ilość sił roboczych będących w chwili obecnej do dyspozycji — i spodziewać się można, że nie będzie on zaspokojony w ciągu kilku najbliższych lat.

Taka sytuacja winna wywołać znaczną zwyżkę płac. Zwyżka płac jednak grozi rozpoczęciem całego łańcucha procesów inflacyjnych. Dlatego też rząd, obawiając się poważnego zakłócenia obecnego stanu równowagi, usiłuje nie dopuścić do niej. Przepisy reglamentacyjne są nadal utrzymane w mocy. Z drugiej strony związki zawodowe chcą za wszelką cenę wykorzystać konjunkturę. W okresie wojny poczucie solidarności społecznej zespalało cały naród w pracy dla zwycięstwa. Robotnicy potrafili zrezygnować z wielu swych uprawnień. Obecnie jednak walka przybiera ostre formy. Szereg strajków ma na celu uzyskanie podwyżki płac, lepszych warunków w pracy, oraz wprowadzenie pięciodniowego tygodnia pracy w niektórych dziedzinach przemysłu.

Sytuację zaostrza jeszcze fakt, że mimo wielkiego braku rąk do pracy, istnieje w Anglii bezrobocie, i to w poważnych rozmiarach. Niewątpliwie wpływają na to strajki i ogólna postawa robotników, którzy nieraz nie kwapią się do pracy, oczekując poprawy jej warunków. Po drugie, przebudowa gospodarki i przestawienie produkcji z wojennej na pokojową powoduje poważne trudności. Wielu fachowców z tych gałęzi przemysłu, które zostają zredukowane nie może przejść odrazu do innych dziedzin pracy. Przytym stosunkowo niskie stawki płac nie są w stanie przyciągnąć dostatecznej ilości ludzi do tych gałęzi produkcji, które ich potrzebują.

Są to jednak wszystko normalne zjawiska okresu przejściowego. W chwili obecnej główną i istotną przyczyną bezrobocia jest brak węgla. Naskutek braku węgla stają fabryki—elektrownie; koleje pracują ostatkiem zapasów. Niespodziewanie ostra zima, która przyszła w okresie rosnących trudności zadecydowała o kryzysie. Dezorganizacja transportu przy równoczesnym wzroście zapotrzebowania na węgiel pociągnęła za sobą fatalne skutki. Spowodu unieruchomienia wielu zakładów — w połowie lutego blisko dwa miliony robotników znajdowało się bez pracy.

Gwałtowny spadek produkcji w wielu dziedzinach przemysłu pociąga za sobą jeszcze dalsze trudności. Bilans handlowy Wielkiej Brytanii jest jak wiadomo, ujemny. Przed wojną Anglia była jedną z potęg finansowych świata i na tym opierała się jej siła gospodarcza. Obecnie to się skończyło. Skarb brytyjski wyszedł z wojny obciążony szeregiem zobowiązań. Dlatego też jedynym środkiem przywrócenia równowagi bilansu, jest wzmożenie eksportu. W tym też kierunku idzie polityka gospodarcza Wielkiej Brytanii — dążąc do rozbudowania tych dziedzin przemysłu, które mają znaczenie dla eksportu. Na całym świecie odczuwa się ogromny głód towarów. Niewykorzystanie tej sytuacji może narazić Anglię w przyszłości na ciężką wakę konkurencyjną. Pociągnie to niewątpliwie za sobą nietylko straty gospodarcze, lecz również poważne osłabienie politycznego stanowiska Wielkiej Brytanii w świecie, które opierało się głównie na jej potędze ekonomicznej.

Jeden z wybitnych ekonomistów brytyjskich, Lionel Robbins, rozpatrując tę sytuację, widzi jedynie wyjście w sprowadzeniu obcych robotników do kapalń brytyjskich. Mimo sprzeciwów jakie wysuwają związki zawodowe, proponuje werbunek.. Polaków. Nie możemy patrzeć obojętnie na tego rodzaju projekty.

Wracając do omówionych trudności Anglii — wydaje się, że ich przezwyciężenie może być osiągnięte przede wszystkim na drodze nacjonalnego rozwiązania problemu zatrudnienia. Podniesienie realne zarobków świata pracy jest pierwszym warunkiem takiego rozwiązania. W związku z tym zachodzi konieczność przesunięcia na warstwy pracujące części dochodu społecznego przypadającej obecnie reszcie społeczeństwa. Przesunięcie takie mogłoby nastąpić w drodze silniejszego uprzywilejowania świata pracy w systemie reglamentacji. W ten sposób dokonana podwyżka płac nie stwarzałaby niebezpieczeństwa inflacji. Wyjaśnia się jednak pytanie czy w angielskich warunkach społeczno - politycznych tego rodzaju rozwiązania są możliwe do przeprowadzenia.

Zagadnienia i poglądy

Nie płoszmy bocianów

Doskonały pisarz i przewidujący polityk Ksawery Pruszyński drukuje w 11 Nr. „Odrodzenia" artykuł p. t. „Niedługo po bocianach", poruszający zagadnienie powrotu Polaków z Zachodu. Artykuł pisany przed paru tygodniami w Paryżu pod świeżym wrażeniem rozmów z emigrantami. Pruszyński stwierdza, że ci sami ludzie, którzy rok temu przybierali togę „nieprzejednanych", rejtanizowali i obiecywali nigdy nie wrócić do „kraju Bieruta", dziś równie głośno i ostentacyjnie deklarują gotowość natychmiastowego powrotu. Robią to tak szumnie i z takimi gestami, jakby oczekiwali od reszty Polaków jakiegoś specjalnego uznania. Pruszyńskiego emigracja drażni, drażni go jej egzaltacja, egoizm i zakłamanie. Główne przyczyny masowego powrotu, który przewiduje „niedługo po bocianach", upatruje w przemijaniu psychozy wojennej na Zachodzie i w coraz trudniejszych warunkach materialnego bytu, który dla Polaka jeszcze najłatwiejszy jest w Polsce.

W ocenie sytuacji emigracyjnej artykuł jest słuszny. Istotnie wszelkie koncepcje przywódców politycznych rozwiały się jak bańka mydlana, pozostawiając po sobie niesmak i rozczarowanie. Z „małej Polski", która miała powstać gdzieś na Zachodzie, dziś pozostały tylko grupki skłóconych i nieodpowiedzialnych demagogów i szara masa biednych, wykolejonych ludzi. Wojny nie ma — pieniędzy nie ma, trzeba wracać.

To jest słuszne. Ale mówią Francuzi „c'est le ton qui fait la chanson" — właśnie w tonie artykułu Pruszyńskiego jest i niesłuszny i drażniący. Choćby tylko dlatego, że ci ludzie chcą teraz do Polski wrócić i że my tu na nich dawno czekamy. Czekają na nich stęknione rodziny, czekają opuszczone warsztaty pracy. Pruszyński sarkastycznie pisze: „Oczywiście, powinniśmy co rychlej wystawić im wszystkim wielkie bramy triumfalne; tacy łaskawi!". Tak pisać nie należy. Rozumiem doskonale, że niepoważne zachowanie się emigrantów Pruszyńskiego drażni. Może, a nawet musi drażnić tych wszystkich, którzy realnie oceniali sytuację polityczną Polski, tych wszystkich, którzy do Polski wrócili i tych, którzy z niej wyjeżdżać nie chcieli. Musi drażnić nieodpowiedzialność i tramtadracja, która przyniosła Polsce tylko szkodę. Ale jeśli oni dziś chcą wracać, a my szykujemy się na ich przyjęcie, to obowiązkiem pierwszym jest zapomnieć o przeszłości. Ta przeszłość była naprawdę tragiczna i trudno, nie każdy umiał dobrze przez nią przejść.

W poważnych i serdecznych słowach zwrócił się do emigrantów Prezydent Bierut, serdecznie „bracia wracajcie" zwrócił się Sejm — napewno serdecznie przywita ich pierwszy strażnik graniczny i urzędnik PUR'u i wreszcie każdy z nas.

W stosunku do działaczy politycznych obowiązuje amnestia. Jaki jest jej sens? Amnestia to nie tylko formalne darowanie winy — to równoczesne danie pełnych, takich samych, jak wszystkim innym obywatelom praw i szans. Być może niektórzy emigranci chcieli do Polski przyjechać w charakterze obywateli pierwszej kategorii — to się nie udało, będą takimi samymi obywatelami, jak my wszyscy. Może będą mieli trochę więcej pieniędzy, bo kurs dolara dalej jest wysoki. W każdym razie nie można ich psychicznie załamywać — z ludzi załamanych nic nam nie przyjdzie i tak jest ich za dużo. Byłoby to podważaniem sensu amnestii. **d. h.**

ZE SZWAJCARII i FRANCJI

Paryż bliski i Paryż daleki

Paryż, w lutym.

Paryż leży od nas bardzo niedaleko, ot, zaledwie o pięć godzin lotu „Dacotą" — które wbrew gazeciarskiej famie jest samolotem niosącym lekko, szybko i przyjemnie zwłaszcza, zwłaszcza, że i nasz stary, poczciwy „Lot" dba o wygodę swoich pasażerów. Kiedy się o 9-ej opuszcza zaśnieżone Okęcie, potem leci nad zatopionymi w śniegu polami — nad którymi niby z fal potopu — wznoszą się tu i tam dachy domów, tu witam pasma drzew — nie ma się świadomości, że już o 2-ej będzie się lądowało w Le Bourget.

Za gęstymi, zbitymi płatami lasu wywija się kręta wstęga Odra — pas graniczny, ostatni uśmiech ojczyzny, połyskujący złotem słońca. Za Odrą — Frankfurt — wielkie miasto, pełne torów kolejowych; dalej — w pół godziny zaledwie później — olbrzymi Berlin — plama na białej przestrzeni śniegów, ropiejący wrzód Europy. Lecimy dalej i dalej. Wznosimy się coraz wyżej. Pod nami kłębią się białe chmury. Wreszcie — po dobrych dwóch godzinach — mrowisko Düsseldorfu i klinga Renu.

Za Renem obraz w dole zmienia się odrazu. Śnieg pokrywa i tutaj pola, ale warstwa jego jest cienka, czuje się pod nią ziemię. Równy dotychczas teren zaczyna się garbić wzgórzami. Lecimy nad ciemnymi płatami lasów liściastych, więc sterczących nagimi kikutami drzew. Widać rzeki, wijące się wśród wzgórz, serpentyny szos, wsie. Śnieg znika. Za Liège widać już tylko małe, białe płaty w kotlinach. Czas mija szybko. Poczynamy spływać z wysokiego nieba bliżej ku ziemi. Na chwilę tracimy słuch. Teraz już wisimy nad dachami domów w dole. Nieoczekiwanie ciemną, mglistą plamą wyrasta przed nami Paryż. Lecimy nad przedmieściami — nad rozsypiskiem białych domków z czerwonymi dachami. Wreszcie koła uderzają o tor. Toczymy się bez końca, mijając niezliczone maszyny ze znakami wszystkich państw. Zajeżdżamy przed lśniący szkłem dworzec Le Bourget. Pięć godzin, dziesięć minut!

Wieje wiatr porywisty i choć śniegu nie ma, nie czujemy, aby było gorąco. Witają nas „stewardessy" — ładne dziewczęta, ze znaczkami dawnych mieszkanek obozu koncentracyjnego w klapie bluzy. Są uśmiechnięte, mają włosy rozwiane, jakieś niezgrabne koturny na nogach i gołe łydki. Połowa kobiet Paryża nie nosi już pończoch — co paradnie nieraz koliduje z kudłatym, krótkim futrem. Jedna ze „stewardess" zaczyna ze mną rozmowę... po niemiecku. Przerywam jej i wyjaśniam, że nie jest to język, którym Polacy lubią się posługiwać. Patrzy na mnie wzrokiem nieco zdziwionym, uśmiecha się niezbyt mądrze. Stwierdza ni przypiął ni przyłatał, że teraz wszyscy uczą się po angielsku.

W parę dni potem z przerażeniem oglądam w jednym z kin przedwojenny ultra pacyfistyczny i proniemiecki film Renoir'a „La grande illusion" z E. von Stroheimem w roli głównej. Sala patrzy na „poczciwych" Niemców i nie reaguje. W aktualnościach pokazują ruszającą się groteskową kukiełkę Hitlera, która została zrobiona w Łodzi; przy tym speaker zapowiada, że kukiełkę tę mają zamiar Polacy ofiarować Schumacherowi. Ale i ten dowcip sala przyjmuje obojętnie...

Autokar dowozi nas na Plan Inwalidów. Mija, przed oczami Łuk Triumfalny, obstawiony pajęczyną rusztowań. Paryż jest cały w remoncie; zda się szykować do wielkiego sezonu. Z mgły wysuwa się wieża Eiffla. Środkiem ulicy płynie szeroka struga aut, wśród których zresztą prawie nie widać tak popularnych u nas „jep'ów" (Willys'ów). Za to na wystawach sklepów dziecinnych jeep'y, jeep'y — małe, średnie, duże, bardzo duże, przeważnie z figurką żołnierza amerykańskiego przy kierownicy. Żołnierz amerykański, to w Paryżu prawie symbol.

Aut jest bardzo dużo, a wśród nich kilka tysięcy luksusowo wyglądających taksówek. Dla Paryża jest to jednak za mało, taksówkę dostać trudno, zwłaszcza że koszt przejazdu jest nieduży — za 100 franków można przejechać śródmieście z krańca na kraniec.

Natomiast ludzi na ulicach jest mało. Normalnie — po południu po Champs Elysées lub po Boulvards des Italiens przewalają się tłumy, mówiące przeważnie po angielsku. Natomiast na innych ulicach ruch jest mały i co ciekawsze zamiera zupełnie o dziewiątej. Ulice są wtedy puste i bardzo ciemne — bo tylko oświetlone lampami ulicznymi. Witryny wygasza się z zamknięciem sklepu Okna w mieszkaniach zasłania się szczelnie portierami. Zresztą paryżanie z zasady śpią już o dziesiątej na drugim boku.

Wbrew temu wyludnieniu hotele są tak pełne, że aby dostać pokój — zwłaszcza tańszy w Quartier Latin — trzeba obejść całą dzielnicę. Wystawy sklepowe nie są zbyt wspaniałe. Na lewej z reguły wisi tabliczka, zawiadamiająca o dokonanej od stycznia zniżce o 5% „pour sauver le franc". W restauracjach jadłospisy mają podwójne ceny — jedne skreślone — takie, jakie były — drugie niższe, aktualne.

Jedzenie jest drogie, choć, gdy się człowiek umie pokręcić, można zjeść — zwłaszcza w robotniczych „bistro" — obiad za 50—70 franków. Wina jest mało i cena jego jest duża. Paryż zaczyna pić za to maswo piwa — zresztą obrzydliwe. Masło jest luksusem, cukier i mleka to samo. Ryb — rzecz ciekawa — wogóle się nie widzi. Za to spotyka się masy owoców — daktyli, rodzenek, grappefruit'ów.

Księgarnie zawalone książkami. Wydaje się tysiące wznowień. Cały Claudel, Valery, Balzac. Olbrzymim zainteresowaniem cieszy się Conrad, który został na nowo w całości wydany. Wydaje się książki Bloy, a nawet J. Barbey d'Aurevilly. Z aktualności spotyka się wszędzie Maleparte „Kaputt", „Listy" — Proust'a, nową książkę Bernanosa „La France contre les robots" i sensację świata — książkę już przetłumaczoną na wszystkie języki (poza polskim!), a także już sfilmowaną — powieść nawróconego w Lourdes w czasie wojny niemieckiego Żyda Franza Werfla „Le chant de Bernadette" („Das Lied von Bernadette"). A poza tym wszędzie, na wszystkich wystawach nowe, luksusowo wydane przekłady klasyków rosyjskich — cały Tołstoj, cały Dostojewski, cały Puszkin.

Czerwony kolor przeważa w Paryżu: czerwone są dachy, czerwone szaliki, rękawiczki, skarpetki, swetry. Czerwony kolor obejmuje kobiety i dzieci. Ta symfonia czerwieni na tle szaro-czarnych murów Paryża wywołuje miłe wrażenie. Pewna dziennikarka, wyjeżdżająca właśnie do Polski, skompletowała sobie wszystko czerwone. „Vous comprenez, Monsieur, tak trzeba. Przecież jadę do Polski...".

Tak, tak. Choć z Warszawy leci się do Paryża tylko pięć godzin, Paryż leży naprawdę bardzo daleko od Warszawy. W Paryżu jest zero stopni, ale wszyscy jęczą i narzekają — „Oh, comme il fait froid!". Najzabawniejsze, że najwięcej na zimno narzekają paryscy Polacy; ten odmroził nogi, tamten nabawił się reumatyzmu. Polacy dzielą się na — urzędników ambasady czy konsulatu, tutejszych, przyjezdnych i emigrantów. Pierwsi i drudzy są zajęci, trzeci — zalatani, czwarta kategoria — stale skwaszona Goście z kraju są przyjmowani serdecznie. Niezmiernie cennym wkładem w życie Polaków w Paryżu była wizyta ks. prof. E. Dąbrowskiego.

Koło polskiego konsulatu chodzi tłum ludzi w wyszarzałych mundurach. Ludzie ci podejmują co pewien czas heroiczną decyzję: przychodzą prosić o prawo wyjazdu do kraju. Ale konicznie z możnością powrotu do Paryża. Gdy się im mówi, że mogą wrócić, ale nie ma mowy o nowym wyjeździe za granicę, wychodzą smutni, zgorzkniali, pełni melancholii.

Co najbardziej uderza przyjeżdżającego do Paryża, to napisy na budynkach: „defense d'afficher" zgodnie z prawem z 1881 r... W „bistro" nie wolno się upijać zgodnie z prawem z 1917 r. Nie wolno pluć zgodnie z zarządzeniem z 1900 r. W metrze nie wolno palić zgodnie z dekretem z 1942 r. Pieniądze w obrocie pochodzą ze wszystkich czasów od 1920 r. — ale najwięcej jest banknotów z doby petainowskiej. Nam Polakom trudno jest tę ciągłość zrozumieć. W Polsce każde pokolenie zaciera ślady pokolenia poprzedniego. We Francji zupełnie inaczej. W metrze wisi reklama farb olejnych z napisem: „les rèpubliques passent, les peintures Sondée restent...".

Rzeczywiście farba na Paryżu jest zawsze ta sama i nurt życia paryskiego małym tylko zmianom ulega. Mówi się u nas dużo o konserwatyźmie angielskim. Ale konserwatyzm francuski jest wcale nie lepszy. Paryż dzięki temu konserwatyzmowi, jest prawdziwie skarbnicą wiedzy, historia przechowuje ciągłość wyniku cywilizacyjnego. Poza tym staje się coraz bardziej sarkofagiem...

We Francji od 14 lutego trwa strajk drukarzy i od dwu tygodni nie ukazują się pisma. Rzecz poprostu nie do wiary— nie wiadomo od miesiąca co się dzieje na świecie. Jedni oskarżają koncern Hachette, inni egoizm francuski, inni jeszcze bezradność rządu. Ale ulica paryska, choć klnie na brak pism, to znów bardzo się tym nie przejmuje. U nas byłyby już pisma nielegalne, zaś plotka urosłaby do rozmiarów kataklizmu. W Paryżu cisza i spokój. Ostatecznie najważniejszą rzeczą jest, aby było co zjeść, aby się wreszcie zaczęła wiosna i aby przypadkiem nie trzeba było iść na jakąś nową wojnę („A bas la guerre d'Indochine!" — czyta się napisane kredą na rue St. Jacques).

Jan Dobraczyński.

Oxford w oczach Szwajcarów

Poczytna genewska gazeta „Tribune de Genève" poświęca dłuższy artykuł pióra Teresy Lavanden zagadnieniom życia uniwersyteckiego w Anglii, widzianym z Oxfordu.

Jest to tylko jedna z licznych kłopotliwych i pełnych kolców zagadnień społecznych, z którymi Anglia para się po wojnie, ale nie bagatelizuje go wobec znaczenia, które dwa najdawniejsze uniwersytety Oxford i Cambridge posiadają dla całokształtu życia angielskiego.

W tym dopiero roku szkolnym demobilizacja zwolniła tysiące młodych mężczyzn i kobiet, których część rozpoczęła studia przed wojną, część zaś zgłasza się teraz na mocy obietnic poczynionych przez rząd udostępnienia tych twierdz przywileju jaknajszerszym masom, za pomocą stypendiów. Tłumy te spotkały się z tłumem tegorocznych maturzystów, którzy także na tych samych zasadach korzystać chcą z możliwości studiów wyższych. Ministerstwo Oświaty musiało zastosować numerus clausus 90 proc. dla zdemobilizowanych i tylko ostatni dziesiątek dla kończących normalnie szkoły.

To stanowiło jednak tylko początek trudności. Zaczęły się one przejawiać na każdym kroku, wynikając z tego, że w murach uniwersyteckiego miasta znajduje się nie — młodzież, ale ludzie mający za sobą 6 lat bohaterskiego, lecz brutalnego życia, utrudniającego im spekulacje umysłowe.

Duchy zakonnych założycieli kolegiów uniwersyteckich wstrząsnęłyby się na widok studentów z niedbale przerzuconymi przez rękę togami (dawniej obowiązującymi dla studentów w dzielnicy uniwersyteckiej) i pchającymi wózki dziecinne. Wielu bowiem studentów przyjechało do Oxfordu z żonami i dziećmi.

Utrudniło to jeszcze problem mieszkaniowy. W pięknych, starych ogrodach uniwersyteckich postawiono, jak to określa autorka artykułu, upakarzające baraki. Niemniej odbił się ten stan rzeczy ujemnie na warunkach mieszkaniowych robotników zakładów Morris-Cowley, olbrzymich warsztatów samochodowych i wywołało protest ich właściciela znanego filantropa lorda Nuffield (przed nobilitacją — Morris), który zagroził miastu przeprowadzką zakładów, jeżeli nie znajdą wyjścia na ten stan rzeczy.

Dotkliwym oczywiście jest brak wykładowców przy tak nagle rozszerzonych ławach akademickich, ale najpardoksalniejszym jest brak książek. Wynika on z polityki narzucającej ograniczenia wewnątrz i export za wszelką cenę. W wielu wypadkach trudno zapoznać studentów z Hamletem lub Rajem Utraconym, gdyż jak tłumaczą zaskoczeni wydawcy „Z rozkazu rządu Shakespeare i Milton są zarezerwowani na export".

Warunki materialne studentów są nieszczególne. Życie w stosunku do cen przedwojennych podrożało od 200 do 400 proc. Rodziny, które dawniej łożyły na wykształcenie dzieci, są obecnie przeciążone podatkami i kosztami pożyczek państwowych subwencjonujących nacjonalizację, nie są już w stanie poprawić warunków odznaczających się średniowiecznym ascetyzmem, częściowo z powodu pozostałości purytańskich zasad, częścio-

Życie gospodarcze

Z ZAGADNIEŃ BIEŻĄCYCH

Jednym z najbardziej ważnych zagadnień bieżących jest t. zw. wiosenna akcja siewna.

Akcja ta ujęta w ramy planu zatwierdzonego przez Komitet Ekonomiczny R. M. obejmuje przede wszystkim Ziemie Odzyskane. Jak podaje Dziennik Gospodarczy „przewiduje się wykorzystanie pod uprawy wiosenne na tych ziemiach 2 mil. ha, z czego 1.600.000 ha ma przypaść na gospodarstwa indywidualne, a 400.000 ha na majątki państwowe". Łącznie z zasiewami ozimemi (1.200.000 ha) areał rolny, znajdujący się pod uprawą w roku gospodarczym 1946-47, powinien wynieść 3.200.000 ha wobec 3.915.000 ha obsiewów głównych rośliny w roku 1938 na tych terenach i wobec 1.750.000 ha w roku 1945-46.

Znaczny postęp w stosunku do ubiegłego roku, jak i zbliżenie się do obszaru upraw z okresu przedwojennego świadczy o ogromnym wysiłku, jaki ma być poniesiony na rzecz powyższej akcji. Wysiłek ten spada nie tylko na barki rolnictwa Ziem Odzyskanych, lecz również obciąży całe społeczeństwo, zarówno poprzez znaczną pomoc Państwa, jak i konieczność dokonania szeregu ograniczeń w zakresie konsumcji Ziem Dawnych. Wyraźna zwyżka cen produktów roślinnych, a w szczególności zbóż, jest wywołana w ostatnich tygodniach między innymi również mobilizacją materiałów siewnych, przeznaczonych dla Ziem Odzyskanych.

Ciężar, jaki poniesie cała gospodarka narodowa dla realizacji planu zasiewów na Ziemiach Odzyskanych, będzie poważny. Tym bardziej zatem ważne jest powodzenie tego planu. O powodzeniu akcji zadecydują następujące czynniki:

1. wysiłek indywidualny,
2. pokrycie materiałowe,
3. właściwa organizacja.

Na podstawie dotychczasowych wyników nie mamy wątpliwości, że czynnik pierwszy nie zawiedzie.

Co do pokrycia materiałowego mogą zajść pewne trudności. Może trzeba będzie ograniczyć zasiewy zbóż na rzecz innych roślin, tym niemniej wydaje się, że z punktu widzenia pokrycia materiałowego istnieje możliwość pełnego uaktywnienia planowanego areału.

Zachodzą natomiast pewne obawy, biorąc pod uwagę szczególnie trudne warunki i dotychczasowe doświadczenia, co do właściwego rozwiązania problemu organizacyjnego. Przede wszystkim chodzi tu o koordynację szeregu czynników, co zapewni odpowiednie pod względem czasu, rodzaju i ilości zaopatrzenie materiałowe. Przyczym szczególne aktualne staje się tutaj pewnego rodzaju „prawo minimum". Jeśli bowiem zawiedzie tylko jeden z czynników, to efekt całej akcji może ulec znacznemu zmniejszeniu, względnie będzie osiągnięty przy większych kosztach. Np. brak smarów do traktorów może spowodować albo ograniczenie ilości czynnych traktorów, albo silniejsze ich zniszczenie.

Istnieją jednak okoliczności, skłaniające do pewnego optymizmu. Wydaje się np., że reorganizacja Przedsiębiorstwa Traktorów i Maszyn Rolniczych, polegająca przede wszystkim na oddaniu w bezpośrednie użytkowanie traktorów Zarządowi Nieruchomości Ziemskich i Samopomocy Chłopskiej oraz na ograniczeniu działalności tego przedsiębiorstwa do eksploatacji warsztatów, okaże się w praktyce zarządzeniem trafnym. Poza tym doświadczenia z ubiegłego roku będą, jak należy przypuszczać, odpowiednio wykorzystane.

Jak widać, wiosenna akcja siewna na Ziemiach Odzyskanych nie jest problemem łatwym do rozwiązania. Wymaga poważnego wkładu materialnego oraz pracowitości, przedsiębiorczości i zmysłu organizacyjnego wszystkich ludzi, biorących w niej udział Cele jednak zarówno polityczne, jak i gospodarcze są takiej wagi, że wszelkie ofiary będą opłacalne.

(ł)

KWITUJEMY:

Ks. — 400 zł. N. W. — 1000 zł. Książki dla Eug. Kochana: p. M. Dziak — paczka. Bezimiennie — 3 książki.

wo z powodu zamiłowania do archaizowania.

Wszędzie jednak przeważają stypendyści. Oxford i Cambridge donedawna domena niepodzielna synów arystokracji rodowej i wiktoriańskiej plutokracji zaludniła się dzisiaj młodzieżą, dla ktorej kluczami do studiów wyższych stały się ich stopnie szkolne, osiągnięte we wszelkiego rodzaju szkołach po całym kraju, a nie w tych kilkunastu, które się specjalizowały w hodowaniu gentlemanów. Toteż ze ścian imponujących refektarzy Oxfordu dwadzieścia generacji szlachciców w ramach zdobionych herbami spogląda krytycznie na zachowanie się nowych przybyszów, a zgrozę ich dzielą niedobitki konserwatystów, torysów uważających, że o wartości człowieka stanowi jego ogłada.

Dzisiejsi przywódcy ludowi święcą słuszny triumf, że przełamali ostatnią twierdzę przywilejów rodowych, wraz ze zrównaniem majątków za pomocą podatków i wydatków przez reglamentację konsumpcji.

Pozostaje jednak — zwraca uwagę autorka artykułu w „Tribune de Geneve“— jeden bastion niezdobyty — właściwy jednej tylko Anglii, a właściwie tylko językowi angielskiemu posiadający cały szereg akcentów uzależnionych od rozmaitych okolic przeciwstawiających się specjalnemu jednemu akcentowi — klasowemu, do którego przystosować się nie potrafią ci, którzy w nim nie wzrośli.

Lingwista angielski Frank Jones, aby uzmysłowić swoim czytelnikom znaczenie społeczne tej klasowej wymowy, cytuje zwyczajem angielskim — Biblię, a mianowicie werset z księgi Sędziów — „I mówili do niego Szibboleth — a on mówił Sibboleth, bo nie mógł wymawiać jak należy. Wtedy chwytali go i uśmiercali przy przejściu Jordanu“.

K. J. K

Czytelnik uważa że ...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwę miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku.

LIST OTWARTY DO ZARZĄDU PRZEDSIĘBIORSTWA PAŃSTWOWEGO „FILM POLSKI“

Odrazu na wstępie zaznaczam, że list niniejszy nie jest jedną więcej spośród mniej lub więcej zasłużonych złośliwości, jakimi zwyczajnie kłuje się „FP“, ale poruszeniem sprawy poważnej i— pochwałą.

W ostatnich dniach lutego r. b. miałem możność zobaczyć w „Kronice“ fragment o dzieciach Warszawy. O ochronce i studencie mieszkającym na piecu w nawpół zrujnowanej kuchni restauracyjnej. Fragment b. dobry i robiący wrażenie.

Ponieważ zajmuję się stale słuchaniem niekończących się zawodzeń na naszą zachodnią granicę; ponieważ wiem, że krzyk Niemców o ich nędzy sięga niebios; ponieważ krzyk ten robi wrażenie i sprawia, iż na temat niemieckiej nędzy rozmawia się często w parlamencie angielskim, a ludzie tacy jak lor Beveridge i Victor Gollancz, dopomagają Niemcom krzyczeć — zwracam się do „FP“ z pewnym projektem.

Czy nie byłoby celowe nakręcić taki właśnie film — krótkometrażówkę, czy średniometrażówkę, pokazującą warunki, w jakich żyją, uczą się i pracują dzisiaj młode i najmłodsze pokolenia polskie? Czy nie byłoby celowe film taki rozrzucić po świecie, wszędzie tam, gdzie płyną łzy nad losem dzieci niemieckich, gdzie pisze się wzruszające książki o tragedii niemieckiej młodzieży, podczas gdy młodzież ta zajmuje się rzucaniem bomb?

Okropności minione już nie interesują nikogo w szczęśliwym świecie, który ich nie zaznał. Ale jeżeli taki film wzbudzi zainteresowanie choćby w jednym mieście na Zachodzie, to już nie będzie zmarnowany.

Los następnego pokolenia Europejczyków zajmuje dziś ludzi w zachodniej Europie i Ameryce znacznie więcej, niż to, co stało się wczoraj z ludźmi już nieżyjącymi. Młodzi i najmłodsi Polacy mają prawo także do tego zainteresowania. Należy je wzbudzić na ich rzecz.

Anglosasi nie okupują Polski, nie są przeto bezpośrednio zajęci jej losem, tak, jak losem swoich okupacyjnych stref. Ale bądź co bądź Polska była krajem napadniętym. Warto by o tym jeszcze czasem przypomnieć.

Andrzej Józef Kamiński

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“ W ODPOWIEDZI NA „LIST OTWARTY WALENTEGO MAJDAŃSKIEGO“

Po przeczytaniu artykułu o powyższym tytule w ostatnim numerze pisma, nie mogę sobie odmówić satysfakcji odpowiedzenia na te piękne i wzniosłe hasła w nim zawarte. Będzie to odpowiedź prosta i skromna, nie o poziomie literackim, czy naukowym, lecz będzie szczera i otwarta, będzie, śmiem twierdzić, głosem większości Polek, matek i kobiet. Mamy rodzić dużo dzieci, gdyż grozi nam wyludnienie i nie wolno nam zabijać dzieci w naszym łonie! Tak istotnie powinno być i absolutną słuszność przyzna każda z nas. Ale czy umiemy? Niechże przykładem będzie moja skromna osoba, której życie układa się w mniej więcej takiej formie: Podczas wojny światowej 1914 r. straciłam ojca, w wojnie obecnej straciłam męża, który został zamordowany. Zostałam z dwoma młodymi synami. I niejednokrotnie zadaję sobie pytanie, pocóż ich urodziłam i na co ich chowam. Chyba po to, aby gdy dorosną do odpowiedniego wieku, wysłano ich znowu na rzeź, aby zamordowano ich tak, jak tysiące innych. Po to matka oddaje serce, duszę, zdrowie swoje i siły, aby doczekać takiej tragedii? Czy po to są Polsce potrzebni, aby kiedyś wysłać ich na rzeź?

A teraz druga sprawa. Bóg mi świadkiem, jak, pomimo wszystko, pragnę maleńkiego dziecka, lecz czy wolno mi je mieć? Owszem, mam przyjaciela, bo temperament mój i żywotność wymagają współżycia z mężczyzną, ale muszę to robić w ukryciu, bo przecież rodzina męża, moja, od której jestem częściowo zależna materialnie, bo dzieci, które wierzą w powrót ojca, w opinii których, nie mogę być winną, bo iskierka nadziei, gdzieś na dnie serca, a może żyje, a może wróci, może cud, nie pozwala mi się wiązać na stałe. Czy w takich warunkach, jeśli się coś zdarzy, mogę zostać matką? Czy mógłby mi który lekarz odmówić pomocy w takim położeniu? Jakie jest wyjście z takiej sytuacji? A kobiet w mojej sytuacji jest tysiące, którym los zgotował te anormalne warunki, którym odebrał możność uczciwego, jawnego postępowania, którym nie wolno być matkami i które z konieczności życiowej muszą zabijać swoje własne dzieci.

Dopóki życie ludzkie, najdoskonalszej istoty na ziemi, nie będzie u nas poszanowane w swej godności — my matki rodzić dzieci nie będziemy. Życie ludzkie jest zbyt cenne, wymaga zbyt wiele wysiłku, pracy, pieniędzy i miłości, aby tak łatwo i lekko je tracić.

Stwórzcie warunki nowe — matkom i naszym dzieciom, pozwólcie nam mieć pewność, że są one potrzebne dla dobrych celów, a wtedy napewno sytuacja ulegnie zmianie i maleńkie niewinne istotki zaczną napełniać świat swoim słodkim szczebiotem i śmiechem ku uciesze ich rodziców i społeczeństwa, a w szczególności p. Walentego Majdańskiego.

Z poważaniem

wierna czytelniczka pisma

Zofia Z.

Szeroki horyzont

Pozwólcie im dalej śnić

JEDNĄ z najciekawszych pozycji amerykańskiego rynku wydawniczego, jest książka, która ukazała się na początku bieżącego roku, p. t. „Psychodrama“. Jest ona właściwie przeznaczona tylko dla lekarzy psychiatrów, ale wzbudziła powszechne zainteresowanie, ponieważ obrazuje kilkadziesiąt lat pracy naukowej dr. Jacob Moreno, twórcy oryginalnej metody psychoterapii, która jest powszechnie stosowana w Ameryce przy leczeniu lżejszych zaburzeń umysłowych, rozwiązywaniu konfliktów małżeńskich, doborze ludzi odpowiednich na stanowiska wymagające wyjątkowej trzeźwości umysłu i ostatnio, przy leczeniu cierpień nerwowych, nabytych przez żołnierzy na froncie. Oto najogólniejszy zarys metody dr. Moreno.

ŻYCIE JEST SCENĄ

Moreno jest Wiedeńczykiem z pochodzenia i uczniem Freuda. W rozmowie z nim, streścił kiedyś swe zasady leczenia: „Pan spotyka się ze swymi pacjentami w sztucznym środowisku pańskiego gabinetu, ja — na ulicy, lub w ich mieszkaniu — ich właściwym środowisku życiowym. Pan analizuje ich sny — ja próbuję nakłonić ich, aby sny swe prześnili znowu“.

Zasadniczo jednak, całe leczenie polega na tym, co dr. Moreno nazywa „psychodrama“. Chodzi o to, aby chory mógł na małej scence, odegrać przed lekarzem te fragmenty swego życia codziennego, gdzie cierpienia jego najjaskrawiej się przejawiają.

Scena jest urządzona zupełnie prosto, bez żadnych dekoracji i kurtyny. Ma natomiast trzy stopnie i chory powinien wstąpić na najwyższy, by tam odtworzyć swe cierpienia. Bardzo często jednak, nie ma na to odwagi, albo siada przy lekarzu, obserwującym go z pierwszego stopnia, kiedyindziej wchodzi właśnie na najwyższy stopień i przybiera pewną siebie postawę, mówiąc z opanowaniem i spokojem. Kładzie się nacisk na to, by uczucia swe wyrażał pacjent nietylko słowami, ale i gestami oraz ruchami.

JOHN KOCHA MARY

Przechodzimy do konkretnego przykładu: będzie nim John, który na tle konfliktu małżeńskiego zdradza objawy manii prześladowczej. Dr. Moreno poleca mu wejść na scenę i odtworzyć jakieś charakterystyczne wspomnienie ojca pacjenta, jeszcze z czasów, kiedy John był dzieckiem. Bez namysłu John rozpoczyna: „Czy obiad jest już gotów? Co, jeszcze nie? Doprawdy, w tym domu, zawsze muszę czekać. A ja się tak śpieszę... Nie, nie dam ci 75 dolarów, wogóle nie dam ci ani centa, odejdę sobie i już nigdy nie wrócę“. Lekarz obserwuje uważnie i każe teraz odtworzyć charakterystyczny monolog matki pacjenta. John mówi dalej: „Kto przesunął to krzesło do okna? Przecież ono stało w kącie! Kto zabrał stąd popielniczkę? Przecież tu ją postawiłem — wiecie, że tego nie znoszę!“ Następnie, lekarz każe głośno powiedzieć swemu pacjentowi, jakie myśli go prześladują. John zastanawia się chwilę i mówi: „Przecież nie mogę się tak ciągle śpieszyć, przecież muszę się jakoś pogodzić z żoną“. W ten sposób, odtwarza się kombinowana analiza trzech osób; odbijają się w niej jasno cierpienia Johna, którego prześladuje myśl, że spóźni się na spotkanie i który nie znosi przestawiania rzeczy w jego domu, co skolei powoduje kłótnie z żoną.

PRAWDZIWA GRA

Ale to dopiero wstępne badanie. John i jego żona Mary muszą na scenie odtwarzać swą kłótnię, przy czym nie wolno im nic zataić. To udramatyzowanie codziennych trudności pożycia, pozwala im nauczenie się takiego sposobu bycia, któryby pozwolił na logiczne i spokojne omówienie przedmiotu sportów i w konsekwencji spowodował ich stopniowe zupełne wygaśnięcie. Specjalnie dobre wyniki daje ostatnio metoda „psychodrama“ w leczeniu zaburzeń umysłowych u dzieci, ponieważ te łatwiej ujawniają nazewnątrz swe głębokie urazy. Szkoli się też fachowy personel lekarski, który będzie zatrudniony w kilkudziesięciu szpitalach, jakie przyjęły metodę dr. Moreno, szczególnie jako profilaktyk, pozwalający na zgłębienie ludzkich problemów, zanim jeszcze nie osiągnęły anormalnego stanu.

Wilk.

Z książek

TRZASKA, EVERT I MICHALSKI, WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 51.

Paweł de Kruif: ŁOWCY MIKROBÓW, Biblioteka Wiedzy, tom 4, przekład St. Miklaszewski, wydanie trzecie, 75 ilustracji, str. 332.

Z. Szmydtowa: LIRYKA ROMANTYCZNA, część 1, Mickiewicz—Słowacki, Krasiński — Norwid, Biblioteka Autorów Polskich, str. 161, 1947 r.

B. MATUSZEWSKI, WARSZAWA.

Kornel Makuszyński: WIELKA BRAMA, powieść, wydanie trzecie, str. 284, r. 1947.

Jerzy Kossowski: ŚMIERĆ W SŁOŃCU, str. 251, r. 1947.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA“, WARSZAWA.

Olga Kuzniecowa: WRÓG POD MIKROSKOPEM, powieść o Ludwiku Pasteurze, z ilustracjami, przekład Tadeusza Zabłudowskiego, str. 243, r. 1946.

Ludwik Hieronim Morstin: KŁOS PANNY, wydanie trzecie, str. 270, r. 1947.

Zbigniew Uniłowski: 20 LAT ŻYCIA, powieść, wydanie trzecie, tom I, str. 343, r. 1946.

S. ARCT, WARSZAWA, NOWY ŚWIAT Nr 35.

Stephen Vincent Benét: AMERYKA, przekład Zofii Łempickiej, str. 107, r. 1946.

Antologia: POEZJA POWSTANIA KOŚCIUSZKOWSKIEGO, opracował Juliusz Nowak-Dłużewski, Biblioteka Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach, seria humanistyczna, tom 1, wydano z zasiłku Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty, Kielce, 1946 r., str. 147.

Zygmunt Wojciechowski: ZYGMUNT STARY (1506—1548) Biblioteka wiedzy o Polsce tom I, str. 394, r. 1946.

GEBETHNER I WOLFF, WARSZAWA, TARGOWA 48.

K. Bunsch: OJCIEC I SYN, powieść historyczna 2 tomy, tom I str. 307, tom II str. 315.

F. H. Burnett: TAJEMNICZY OGRÓD, powieść dla młodzieży, tłumaczenie Jadwigi Włodarkiewicz, ilustracje W. Sołowijówny, wydanie III, str. 250, r. 1946.

RÓŻNE:

Anna Świrszczyńska: ARKONA, GRÓD ŚWIĘTOWITA, z dziejów słowiańskiej Rugii, czyli Rany, powieść dla starszej młodzieży, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka“, Kraków, r. 1946, str. 233.

PROBLEMY ŁUŻYCKIE, Wydawnictwo Polskiego Związku Zachodniego, Poznań — Katowice, str. 112, r. 1947.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA“

Julian Gałaj — MYSTKOWICE WIOSKĄ MAŁĄ..., cz. I „Paweł Łekis“, str. 224, cz. II „Kameleony“, str. 400, cz. III „Krystalizacja“, str. 291, r. 1946.

St. Żółkiewski — ROZWAŻANIA NAUCZYCIELSKIE, str. 62, r. 1946.

Stanisław Strzelbicki — PRAWIDŁOWY ZARZĄD DOMEM, str. 64, r. 1947.

Inż. Ignacy Borejdo — DLACZEGO STAL?, str. 44, r. 1947.

Stefania Sempołowska — S. O. S. NA RATUNEK, str. 296.

Wacław Barcikowski — OD DEMOKRACJI LIBERALNEJ DO DEMOKRACJI SPOŁECZNEJ, str. 64 r. 1947.

Jerzy Borejsza — HISZPANIA (1873-1936), wyd. II uzupełnione, str. XX — 286, r. 1947.

Maksym Gorki — MATKA, przekład Halina Górska, str. 411.

MAŁA BIBLIOTECZKA „KSIĄŻKI“

Henryk Sienkiewicz — JANKO MUZYKANT, JAMIOŁ, wyd. II, str. 30, r. 1946.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA

Wiktor Krzyżanowski — O POLSKOŚCI ŚLĄSKA, str. 66.

Henryk Jabłoński — OPINIA — PARLAMENT — PRASA, wstęp do badań roli opinii publicznej w epoce rozkwitu kapitalizmu, str. 360.

Konferencje Rekolekcyjne w języku francuskim na temat: Le jeu de Dieu (Gra Boża) wygłosi O. Pius Pelletier w dn. 31 marca, 1 i 2 kwietnia o g. 6 pp. w kaplicy Przytuliska przy ul. Wilczej 7.

Konferencja ta porusza najistotniejsze zagadnienia życia. Powinny zainteresować się nią jaknajszersze warstwy myślących katolików.

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880-71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30—13.30.
Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia“, Widok 24. B-30021 Odbito w drukarni „Czytelnik“ Nr 2, Marszałkowska 3/5.